



Wydawcy i redaktorowie: Stanisław Błotnicki i Adolf Inlender.

# PIEKIELKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

**MICHAŁ WOŁOWSKI.**

(Ciąg dalszy.)

Tu książę skierował się do swojego gabinetu dla napisania listu, gdy Kazimierz gwałtownie i niepewnym głosem zawołał.

— Jedno słowo, mości książę, jedna prośba. Ty książę wiesz, że jestem, byłem i pozostanę uczciwym człowiekiem, jest to jedyna moja spuścizna literacka, której się nigdy nie wyrzeknę.

Książę chwilę bystro popatrzył na twarz Kazimierza i szepnął:

— Wierzę.

— Zatem zrób mi tę łaskę książę i w liście polecającym moją osobę nie pisz mojego nazwiska.

Książę zdumiony spojrzał na mówiącego i chciał coś zaprotestować, gdy Kazimierz złożył ręce jak do modlitwy i serdecznie molestował począł.

— Mości książę, wszak znasz tylko człowieka, tylko człowieka polecasz, wszystko ci więc jedno, czy on się tak czy owak nazywa. Przeszedłem w życiu straszną katastrofę, ależ żadnego brudu nie popełnił; wszak każdej chwili nazwisko moje książę wyjawic możesz, jeżeli się przekonasz, że

zaufanie twoje zdradziłem, ale są takie okoliczności w życiu, że moje nazwisko musi zniknąć. Potrzebne to dla szczęścia dwojga istot — trojga nawet. Kiedyś wytłómaczę ci to, zrób mi tę łaskę dzisiaj.

Książę zawahał się przez chwilę, ale prośba Kazimierza była tak szczerą, tak natarczywą, że jako człowiek miękki, oprzeć się jej nie był w stanie. Miał on przy wszystkich swoich wadach i zaletach talent poznawania ludzi. Szyszka mimo zmiany, jaką w nim spotrzegł całym zachowaniem się, budził zaufanie. W prośbie jego domyślał się jakiejś awanturki, ciekaw był jej nawet, delikatność jednak nie pozwoliła mu badać proszącego. Obiecywał to sobie uczynić innym razem. Po niejakej tedy chwili zwracając się ku Kazimierzowi zapytał:

— Jakże cię tedy mam polecić panie Szyszka?

— Konrad Trzaska, mości książę.

Za chwilę z listem polecającym księcia, Szyszka opuszczał jego mieszkanie. Teraz zatarł ślady o sobie. List, jaki otrzymał od swego dostojnego protektora zapewniał mu utrzymanie a jednocześnie i możliwość zachowania swego incognito, które dla jego celów przyszłych i dla dziecka tak było mu potrzebnem.

Pozostawało teraz drugie, nierównie trudniejsze zadanie do spełnienia; pozostawało umieszczenie dziecka i zapewnienie mu takiej doli, za jaką by się niepotrzebował, kiedy dorośnie, rumienić.

Gdzie jednak wynaleść dla niego rodziców? gdzie takich ludzi, którzyby cudzą krew chcieli przycisnąć do piersi, zagrzewać rodzinnem ciepłem?



Nad tem wszystkim daremnie sobie łamał głowę Kazimierz.

Dnia tego spędził wieczór cały przy swoim ukochanym malcu, poza miastem gdzie go karmiła zapłacona kobieta.

Płakał nad nim, śmiał się do niego, pieścił go, bo powtarzał sobie, to już na całe życie.

Potem począł rozglądać się po mieście.

W pamięci odszukiwał nazwiska wszystkich znajomych z czasów dawnych, kolegów, przyjaciół ze szkolnej ławy, ale w całym tym szeregu ludzi nie mógł znaleźć ani jednego, któryby mu pożądanego warunków rodzica jego malca przedstawiał. Największym pono przyjacielem wszystkich zamiarów ludzkich jest wypadek.

Takiemu wypadkowi też zawdzięczał Szyszka załatwienie sprawy dziecka, oraz wynalezienie dla niego rodziny.

Wieczorem dnia pewnego dla złagodzenia bólów, które szarpały mu serce, Szyszka zaszedł do szynku, aby się zaopatrzyć w zwykłą codzienną swoją porcję absyntu: przy bocznym stole knajpy usiadł i od niechcenia rzucił okiem na leżący tamże numer wyszłego niedawno z pod prasy dziennika.

Dziennik leżał odwrócony ku niemu inseratową swą kolumną. Szyszka mimowoli rzucił na nią oczyma i zadrżał.

To, czego szukał, leżało przed jego oczyma.

Jakieś bezdzielne małżeństwo pragnęło do siebie przyjąć na wychowanie dziecko i zająć się jego losem.

Dla Szyszki było to jasnym promieniem z nieba, radość najwyższa zarysowała mu się na twarzy, był tak szczęśliwy w tej chwili jakby mu kto nieba przychylił. W umyśle jego rodziły się prawda, pewne wątpliwości, czy ludzie ci, pragnący dać opiekę niemowlęciu, dadzą mu też dobre serce i czy zamiast szczęścia nie stworzą mu przez to piekła, ale wyboru nie było; przypadek przychodził mu w pomoc, należało z niego korzystać.

Nie tracąc więc ani chwilki czasu, natychmiast udał się do domu, którego adres wskazywała mu gazeta.

Zanim jednak zapukał do tych ludzi, pragnących przytulić do siebie obce dziecko, poszedł się pytać o nich innych.

Snadź dobre otrzymał informacje, bo nazajutrz rano z uśmiechem na ustach wszedł do ich mieszkania, położonego na Żółkiewskiej ulicy, a już sama w nim woi porządku i czystości zachwycała go bardzo.

Liwscy — takie było nazwisko ludzi, do których zapukał Szyszka, należeli do kategorii tych istot, niestety do dziś dnia przedstawiających wyjątkowe typy, które nie pojmują życia bez celu i miłości. Pobrali się zaledwie lat temu ośm, mieli syna, który im umarł i po jego śmierci zostali samotni, tęskniący za dzieckiem i wdychający przez dnie całe do czegoś lub kogoś, komu by mogli te swoje ofiarować uczucia. Liwski był notariuszem, powodziło mu się dobrze, lubił dom i rodzinę i posiadając pierwszy, brakiem drugiej czuł się unieszczęśliwionym.

Mysł przybrania sobie jakiegoś dziecięcia za swoje, wyszła od jego żony, schwylił ją z gorączką prawie mąż i przez długi czas odbywał najusilniejsze poszukiwania za zdobyciem dziecięcia, któreby wypełnić im mogło życie całe.

Nie tak jednak łatwo było znaleźć ludzi, chcących się pozbyć krwi własnej. Liwski zresztą nie każde dziecko byłby przyjął, był pod tym względem dziwakiem, szukał małej twarzyczki, do której ciągnęłaby go jakaś sympatja, był bowiem człowiekiem, wierzącym w jakieś przecucia i tajemnicze pociągi. O zamiarze przyjęcia na wychowanie dziecka ogłaszał w dziennikach tylko dlatego, iż się spodziewał, że trafi na osobnika co go ku sobie pociągnie i chciał mieć zawsze wybór między zgłaszającymi się.

Liwski przy całej poczciwości swojego charakteru był człowiekiem jak się to często zdarza u ludzi serca, szorstkim i przykrym, trzeba go było poznać z bliska dopiero, patrzeć na to co robił, a wtedy szacunek niezawodnie dla niego się budził. Szyszka znalazł się właśnie w jego kancelarji w tej chwili, gdy był zajęty dyktowaniem jakiegoś aktu.

— Czego? zapytał opryskliwie przybysza.

— Chciałbym z panem pomówić bez świadków, odparł Szyszka niepewnym głosem.

— Nie mam czasu, zaraz, była odpowiedź, proszę poczekać w sąsiednim pokoju, tylko próżniaki mają czas zawsze, ja do próżniaków nie należę.

Kazimierz drżał prawie jak w febrze, nieśmiało spojrzeć na Liwskiego, ten tymczasem udając wielkie zajęcie dyktowanym aktem, obserwował pilnie z pod okularów przybyłego.

Obserwacja ta trwała zaledwie minut parę, Szyszka nie usłuchał Liwskiego, nie poszedł do drugiego pokoju a usiadł tylko w kącie kancelarji i z oczyma spuszczone w ziemię niespokojnie mietosił czapkę trzymaną w ręku i wbrew własnej woli wysłuchiwać musiał całego długiego jakiegoś



aktu sprzedaży domu, który dyktował Liwski swemu koncypjentowi. Skończył się nareszcie akt, który Liwski polecił odnieść do sądu młodemu człowiekowi i w kancelarji zostali sam na sam: Szyszka z przyszłym opiekunem swojego syna.

— No, mówże pan czego chcesz nareszcie, widząc pomieszczenie przybyłego zawołał notariusz.

— Pan uczyniłeś ogłoszenie w dziennikach, ozwał się nieśmiało Szyszka.

— Tak panie, lecz cóż to pana obchodzić może?

— I wiele... ja mam dziecko, mam syna, ponuro wyszeptał Szyszka.

— Aaa... było odpowiedzią.

— Mam syna, którego się wyrzec muszę, dla którego potrzebuję umrzeć raz na zawsze, aby go w przyszłości hańba urodzenia nie przygniotła.

Notariusz poprawił na nosie niebieskie okulary i ciekawiej jeszcze począł przyglądać się Kazimierzowi.

— Powiem panu tylko, że jedynym celem mego życia jest to dziecko, jedyną i ostatnią miłością moją. Nie chcę od pana łaski innej prócz serca i miłości dla niego: każdą twoją przysługę odpłacę sownie i sercem własnem i gotówką...

— Oo... mruknął pod nosem notariusz.

— Muszę ci panie przedewszystkiem otworzyć wszystkie tajniki mego serca, cały straszny dramat, jaki w nim się kryje i straszną katastrofę pod brzemieniem której upadłem...

— Mów pan, słucham...

Tutaj poraz pierwszy Szyszka rozpoczął opowieść swojego życia i bólów, jakie może sobie sam stworzył, ale których przyczynom oprzeć się nie był zdolny.

Liwski słuchał tego dramatu spokojnie, zimno ale widocznie wzruszała go ta opowieść, bo okulary niebieskie coraz częściej poprawiał i od czasu do czasu chrząkał, co zazwyczaj było u niego objawem wzruszenia.

— Oto są grzechy mego żywota, kończył Kazimierz, czym przewinił nie wiem, ale to wiem że cierpię strasznie i няма poświęcenia, którego-bym nie uczynił, aby mojemu synowi zapewnić spokój i jutro swobodne. Znam świat i ludzi aż nadto, wiem jak bardzo i jak niesprawiedliwie żądam swej złościwości dotykają tych wszystkich, którzy rodzą się bez nazwiska. Dziecko moje umiałbym wychować, umiałbym zahartować na najcięższe przygody życia, ale nie byłbym w stanie tym złośliwym językom milczenia nakazać, zastruliłby mu każdą chwilę, a życie uczyniłoby męczarnią. Pocóż się mamy truć obydwa, wolę cierpieć sam, wolę

pokutować za grzech swój i cudzy. Panie, daj mu serce, daj mu swoje nazwisko i pozwól zdaleka tylko czuwać nad niem, przywlec się tutaj i popatrzeć z ukrycia na niego jak wzrasta.

Tu Szyszka zakrył rękami twarz i oczy, lkał i powtarzał swoje: panie daj mu serce... daj serce...

— Nie wiem, pójdziemy zobaczyć to dziecko.

I poszli obydwa, mileząc w stronę gdzie Szyszka zostawił swoje dziecko. Liwski rzucił tylko okiem na niemowlę, schwycił za rękę Kazimierza, niebieskie okulary znów poprawił i przytykając łąkę, która go w tej chwili także dławiła, zawołał:

— Biorę, takim samym był kiedyś nasz Janek.

— Jeszcze jedno, bierz pan sobie tę krew moją, zrób z niego uczciwego człowieka, ale przysięgnij mi pierwej, że on twoim synem będzie, że nigdy nie dowie się o istnieniu swego prawdziwego ojca, którego wkrótce nazwisko zamrze. Patrz pan, oto jest wyrok mojej śmierci, dodał ukazując otwarty list księcia, Liwskiemu.

Notariusz, którego słabością było pozowanie na chłód i obojętność, przejrzał list księcia pisany do marszałka rady powiatowej w R. i zawołał:

— Dobrze, Kazimierz Szyszka już umarł, jest tylko Konrad Trzaska, mój przyjaciel. Skinął na dorożkę i dziecko na swoje własne wziął ręce i do dorożki z niem wsiadł.

Szyszka jęknął, schwycił jeszcze z rąk notariusza dziecko, do piersi je przycisnął, ucałował, przyczem leż kilka na drobną twarz dzieciny upadło i jak szalony uciekł nie czekając na przysięgę notariusza, bo mu wierzył, że ten człowiek tak często poprawiający swoje okulary, pozujący na Anglika, kiedy każde wzruszenie odbijało się na jego twarzy, słów swych dotrzyma i bez przysięgi.

Uradowany też mocno powrócił do domu Liwski, wszedł do pokoju, gdzie zajęta była jakąś robotką żona, tryumfalnym prawie krokiem, znów okularów poprawił i chłodno zawołał.

— Oto go masz...

Notariuszowa rozkrzyżowała ręce i z krzykiem radosnym rzuciła się na poduszkę, w której niemowlę zawiniętem było.

— A moja płaszyno najdroższa, jaki to chudziaczek małeńki, jaki delikatny, powtarzała obsypując go pocałunkami, potem klaskała mu w dłonie, a gdy dziecko się uśmiechnęło, nie było już końca radości, pieszczotom i szczęściu, jakie to małe bobo pod ten dach dwojga samotników wniosło



Dnia tego również podwójna doza absyntu nawet nie zdołała uspokoić nerwów rozdrażnionego Szyski; podobnym był do warjata, za takiego go nawet poczytywali ludzie, którzy go spotkali na ulicy biegnącego bez celu, bez czapki, z rozdartą koszulą na piersiach.

Nazajutrz nie było go już w mieście.

## V.

Nie od dnia dzisiejszego na polu społecznego życia toczy się walka o niepodległość kobiety i jej równouprawniony udział w każdej gałęzi społecznego ustroju. W chwili dzisiejszej dotychczasowa kapłanka domowego ogniska wywalczyć sobie już zdołała wiele do niedawna odmawianych jej praw. Ale lat temu kilkadziesiąt wszystkie te domagające się niezależności kobiety, uważano za coś tak nadzwyczajnego, iż społeczeństwo i opinia odwracały się od nich, jak od zapowietrzonych niedawie. I rzecz dziwna, wówczas gdy u nas i gdzieindziej cieszyły się uznaniem i powodzeniem tak zwane lwice, wytykano prawie palcami te, które pragnęły dla płci swojej nie papierosa, dzokiejskiego pejczu lub wolnej miłości, ale nauki, otwartych drzwi do pracy, któraby egzystencję zabezpieczyć mogła i tego rozumnego równouprawnienia, które nie ograniczało kobiecych działalności jedynie tylko do troski o żołądek swych panów.

Galicja później jeszcze zgodziła się na przyjęcie tego wyniku cywilizacyjnych, humanitarnych idei, który umożliwił wędrówkę przez życie wielu kobietom, samoistnie bez opierania się koniecznego na ramieniu mężczyzny. W czasach w których się toczy moje opowiadanie, opinia publiczna na tym galicyjskim gruncie surowszą jeszcze była, aniżeli gdzieindziej, każda energiczniejsza natura kobieca musiała tam łamać się z stokroć większymi trudnościami, Sawantka była nieledwie synonimem warjactwa, kamienie potępienia tak łatwo sypały się na głowy tych, które pod ten strychulec zaściankowych pojęć głowy poddać nie chciały; stanąć zaś do walki z opinią, z potępieniem ogólnem nie tak łatwo. To też na osobniki energiczniejsze składać się mogły tylko okoliczności osobiste, nie samo wychowanie, nie jego kierunek na stare prowadzone tempa.

Jedną z postaci takich, na której charakteru wytworzenie złożyły się nadzwyczajne okoliczności, była panna Janina Lubicz, osoba młoda, energiczna, piękna, którą dopiero życie nauczyło czem jest samodzielność kobiety.

Dzieciństwo spędziła na wsi w tych błogosławionych czasach, gdy na szlacheckiej fortunie myśleć można było o tem tylko, aby dobrze się wyspać, dobrze najeseć i napić, bo twarda chłopska ręka wszystko pokryć to swoją pracą musiała. Błogosławione czasy jednak zniknęły, trzeba się było wziąć do pracy, a dla ludzi starych takie nadzwyczajne wykołajenie równa się fizycznemu niepodobienstwu. Lubiczanie też starzy na te ciężkie czasy i zmienione warunki bytu ekonomicznego nie umieli znaleźć innego lekarstwa i innego ratunku jak tylko w długach. Stary ojciec panny Janiny nie wierzył ani na chwilę, aby to co się stało, mogło trwać wiecznie; codziennie tworzył sobie rozmaite kombinacje polityczne, które stanowczo miały wpłynąć na polepszenie doli szlacheckiej egzystencji i powrócić go do pierwotnej szczęśliwości.

Kombinacje te jednak zawodziły, długi się powiększały i kończyło się na tem, że tabula majątku Lubiczów wyglądała w końcu tak zamazaną iż najbieglejszy prawnik nie byłby ją wstanie spokojnie odczytać. Rezultat tego stanu interesów, bardzo łatwy do przewidzenia. Lubicz z żoną i córką znaleźli się na bruku, bez środków do utrzymania i bez jakiegokolwiek szans na jutro. Janina, młode, zaledwie poczynające żyć wówczas dziewczę, pierwsza zrozumiała sytuację. Dano jej świetne wykształcenie, ale wedle tej starej normy, która kobiety nasze szykowała na lalki salonowe, ale nie na obywatelki. Jeżeli zaś to obywatelstwo i było, to przypisać to należało warunkom politycznym kraju i tej miękkiej polskiej naturze, która nawet w najtwardszych okolicznościach zdobyć się na bohaterstwo potrafi, ale wyrozumować go sobie nie umie.

Po sprzedaniu dóbr zaledwie parę tysięcy guldenów zostało się w kieszeni Lubiczów. I tym razem stary szlachcic myślał, że to są sumy nie wyczerpane, ale nie myślała tak jego córka. To młode dziewczę wzięło kredkę do ręki, liczyć poczęło, a jako rezultat tego liczenia zrodziło się przekonanie, iż praca ciężka może być jedynem wyjściem i ratunkiem z tego położenia prawdziwie oplakanego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



## Praca i przyszłość.

Bywa wieczorem, gdy schylony czytam  
 I o los narodu księgę wiedzy pytam,  
 Duch prądem myśli niecierpliwych rwany,  
 Rzuca badań trudy, rwie czasu kajdany.  
 Łączy marzeń twory — złote ideały,  
 Z potęgą wiedzy, w zbrojne arsenały,  
 Skąd naród czerpnie, gdy godzina przyjdzie.  
 Skąd poczet mędrców narodowych wyjdzie.  
 Naprzód! budujmy tę machinę wielką,  
 Co będzie naszą oswobodzicielką,  
 Sieczną w miecze z stali i w sierpy nauki,  
 Dźwięczną złota brząkiem, strojącą pięknem sztuki:  
 Grzmiącą „Jeszcze nie zginęła“ młotów uderzeniem,  
 Partą i potęgą pary i serc uniesieniem.

1882 r.

H. P.

## Nowe prądy religijne w Ameryce.

W całej Europie rozlega się jeden krzyk oburzenia na młodą Amerykę, że śmie konkurencją swoją zalewać rynki nasze i do reszty podkopywać nietęgę naszą finanse. Lecz Ameryka nie zważa na krzyki staruchy, karczuje dziewicze lasy, sieje pszenicę i żyto, wznosi elewatory, buduje statki i wysyła ładugę za ładugą, aż się straszno robi naszym rolnikom.

Lecz na tem nie koniec konkurencji amerykańskiej. Autodydakta Edison siedzi w swojej pracowni i codzien niemal nasyła nam jakiś nowy wynalazek — na złość naszym uczonym i dyplomowanym technikom i inżynierom. Draper głosi nową historjozofję, Whitney posuwa na nowe tory językoznawstwo, Morgan rozjaśnia początki społeczeństwa ludzkiego, George obwieszcza nową ewangelię socjalną — słowem Ameryka zalewa nas ideami.

Lecz nie tyle naszych rolników przestrasza konkurencja zbożowa, nie tyle starych rutynistów obrusza nowość pomysłów amerykańskich — ile przerazić winien obrońców starego porządku fakt, że z tamtej strony Oceanu zaczynają dochodzić nas głosy, które już wprost dobierają się do naszych starodawnych poglądów moralnych i religijnych. Już słyhać wyraźnie uderzenia toporów o odwieczny gmach dogmatów i przesądów, a gdy ten łoskot u nas znajdzie echo, runąć gotowa misterna budowa.

Bynajmniej nie wydaje nam się hazardowem przypuszczenie, że z Ameryki właśnie wyjdzie rewolucja na polu moralnem i religijnem. Ameryka posiada nie tylko zboże i naftę, nie tylko talenta i geniusze — ona posiada skarb o wiele większy i rzadszy: wolność. Niejedna myśl zbawienna, co zakiełkuje na starym kontynencie, nie może się przyjąć w wyjałowiałym gruncie naszym, nie może się rozwinąć pod naciskiem pęt rozlicznych: lecz przeniesiona na dziewiczy, świeży grunt Ameryki, ogrzana słońcem wolności, kiełkuje, rozrasta się bujnie, a wiatr zachodni, co wieje przez Atlantyk, przynosi nam owoc dojrzały.

Zupełna wolność religijna w Zjednoczonych Stanach spowodowała naprzód bujny rozrost sekciarstwa. Miało to swoje ujemne strony, ale i tą dodatnią, że ludzie przywykli roztrząsać kwestje religijne i filozoficzne i wyrabiać sobie własne poglądy w tej mierze. W ten sposób sekciarstwo przygotowało grunt pod najczystszy i racjonalizm filozoficzny.

Filjację myśli od separatyzmu sekciarskiego, aż do zupełnego agnostycyzmu najlepiej okazuje historia powstania t. zw. „Free Religious Associations“ (Związek wolno-religijny), najbardziej wpływowego i najwięcej rozgałęzionego towarzystwa racjonalistycznego.

Jedną z najradykałniejszych sekt amerykańskich jest istniejący w Bostonie związek „Unitarian“ odrzucający św. Trójcę. Ołóż z tego związku w r. 1867 wystąpiło kilku najświatlejszych członków z powodu różnicy zdań i ci to secesjoniści założyli wówczas „Związek wolno religijny“, do którego wkrótce przystąpiło mnóstwo zdolnych i wpływowych ludzi. Założycielem był Francis Ellingwood Abbot, znany obecnie z licznych prac filozoficznych, pierwszym prezydentem O. B. Frothingham, znakomity kaznodzieja, sekretarzem J. Potter.

„Free Religious Association“ ma swoją główną siedzibę w Bostonie, lecz organizacja związku obejmuje całą Unję. Zadanie Towarz. określa Artykuł I. „Konstytucji“ w ten sposób: „Organizacja niniejsza nosić będzie nazwę Związku wolno-religijnego: zadaniem jej bowiem jest działać na rzecz praktycznych wymogów czystej religji (*to promote the practical interests of pure religion*), szerzyć braterstwo ducha i zachęcać do naukowych badań nad religijną naturą człowieka i historją religji“. Według dalszych artykułów członkiem Towarzystwa może być każda jednostka niezawisła pod względem opinii; nie wymaga się przyjęcia z góry pewnych ściśle określonych zasad,



oraz pozostawia się członkom wolność równoczesnego należenia do wszelkich innych związków lub stowarzyszeń.

Organem tego Towarzystwa jest tygodnik „The Index“ (Drogowskaz) wychodzący w Bostonie pod redakcją pp. William J. Potter i B. F. Muderwood. Mamy pod ręką kilka numerów tego pisma, które świadczą o znakomitej redakcji i wielkiej wytrawności współpracowników. Prócz artykułów odnoszących się wprost do spraw Towarzystwa i do propagandy racjonalistycznej, jest tam mnóstwo prac naukowych treści filozoficznej, społecznej i historycznej, między którymi niepoślednie miejsce zajmują prace kobiet jak Sara Muderwood, Elizabeth Powell-Bond, Ellen Dickinson i innych.

Obok czasopisma Towarzystwo wydaje mnóstwo dzieł i broszur filozoficzno-religijnych, które za bezcen sprzedaje. Wymieniam niektóre: „Ewolucja i Religja“ przez John'a Fiske (przyjaciela i adherenta Herberta Spencera); „Rozum i Objawienie“ przez Pottera; „Biblia a wiedza“, „Jak nam obchodzić niedzielę?“ „Bóg w nauce“ przez F. E. Abbota; „Naturalizm a Supranaturalizm“, „Religja ludzkości“, „Agnostycyzm i religja“ przez W. H. Spencera i t. d.

Wszystkie te pisma, niemiń jak tygodnik „Index“ wystrzegają się starannie wszelkiego dogmatyzmu, a tylko opierając się na poglądach filozofii ewolucyjnej propagują pełną swobodę badania i krytykowania istniejących zapatrywań i systematów. \*)

Toteż między reprezentantami tego kierunku znajdujemy obok ludzi świeckich — rewerendów anglikańskich i kaznodziejów sekciarskich a nawet rabinów żydowskich. Jeden z tych, Felix Adler założył na własną rękę w r. 1876 osobne stowarzyszenie wolno-religijne pod nazwą: „Society for ethical culture“ (Stowarzyszenie kultury etycznej), które co niedziela odbywa rodzaj nabożeństwa. Związek ten początkowo opierał się głównie na filozofii kantowskiej, później jednak — mianowicie za wpływem wymienionego już profesora Fiske, coraz silniej zaznaczał się w niem kierunek monistyczny oparty na filozofii Spencera. Profesor Fiske ułożył syntezę ewolucji, którą zwie: „Filozofją kosmiczną“. Głównym propagatorem kosmizmu jest związek „Free religious Congregation“ mający swoją siedzibę w Florence (Massachusetts).

\*) Po szczegóły odsyłamy czytelników do obszernej pracy hrabiego Goblet d'Alviella w „Revue des deux Mondes“ z r. 1883 (zeszyt z 1 kwietnia.)

Obecna propaganda racjonalistyczna ocale niebo wyżej stoi od dawnych swarów sekciarskich. Zewsząd wieje duch pojednania i tolerancji, widnieje szczytny pogląd na najwyższe zagadnienia ludzkości. Nie jest to suchy i brutalny materializm, lecz owszem idealizm, pragnący wnieść ludzkość do wyżyn dotąd niebywałych. Bronią tych ludzi nie jest szyderstwo ani fanatyzm, lecz badanie i prawda naukowa.

Oto leży przed nami dzieło p. t. „Religja w świetle teorii Darwina“ autorem którego jest Reverend M. J. Savage\*\*) jeden z filarów wolno-religijnego związku. Autor zadaje sobie pytanie: Jeżeli teoria ewolucyjna jest prawdziwą, co pozostanie z religji? „Niektórzy mężowie nauki — mówi Savage — twierdzą, a niektórzy trwożliwi zwolennicy religji obawiają się, że teoria ewolucyjna jest do głębi ateistyczną i antireligijną i że — skoro ona jest prawdziwą, pozbawieni będziemy wszelkiej religji. Autor mniema, że rzeczą jest zarówno nauki, jak religji, zawsze i przedewszystkiem szukać prawdy, bo tylko prawda prowadzi do Boga... kto prawdy szuka, ten jedynie szuka Boga“. P. Savage następnie, posługując się językiem pięknym i wykładem nader jasnym i spokojnym, stara się wykazać, że w gruncie rzeczy nie masz antagonizmu między religją a wiedzą. Według niego świat materialny jest objawieniem istoty boskiej: bytu, porządku, piękności i potęgi i historia świadczy o postępie w świecie fizycznym i ludzkim, o doskonaleniu się ciąglem: codzienne życie ludzkości świadczy o istnieniu miłości, poświęcenia, nadziei, czystości, miłosierdzia i tylu innych zdolności moralnych i duchowych. Wszystko to jest wynikiem nieskończonego, niezbudowanego życia i potęgi, z których promienieje Bóg...

„A zatem jest Bóg, który przewyższa nieskończenie wszelkie wyobrażenie, jakie sobie zrobic o nim możemy i wszelkie objawienie jakiegokolwiek widzieli i święty Paweł miał słuszość gdy pisał że: „Jego niewidzialna istota będzie wyraźnie poznana ze stworzenia i zrozumiana ze rzeczy, które On uczynił“. Nauka zatem badając życie na świecie, dąży do poznania Boga; to samo zaś czyni prawdziwa religja. Większa część dawniejszych religij, składała się głównie z ceremonij: nauka krytykując te ceremonje, nie atakuje religji gdyż one nie stanowią istoty takowej: usuwając zaś przesady i zabobony, wyświadcza religji prawdziwą przysługę, gdyż jej przeto

\*\*) W przekładzie niemieckim Schrama, Lipsk Otto Wigand 1886.



ułatwia poznanie Boga. Tak tedy, zdaniem autora z czasem musi nastąpić zupełna zgodność między religią a wiedzą, wyłonić się jedno, uniwersalne pojęcie o Bogu, które poprowadzi ludzkość ku coraz większej doskonałości i szczęściu. „Gdy ludzie nabędą dość mądrości moralnej, wtedy będą wiedzieli, że zawsze najlepiej jest czynić dobrze. Ludzkość zatem będzie doskonałą, skoro zupełnie pozna stosunki ludzkie i z ochotą się podda fizycznym, duchowym i moralnym prawom boskim“.

Taką jest kwintesencja poglądów p. Savage'a. Na tej podstawie przeprowadza on dalsze swoje rozumowania o powstaniu świata, o zadaniu człowieka, o naturze zła, o rozwoju pojęć moralnych, o stosunku między miłością a prawem, o medlitwie, o łasce i pojednaniu, o nieśmiertelności i t. d.

Trudno w tem miejscu streścić całe dzieło, ale jesteśmy przekonani, że każdy nieuprzedzony przeczyta je z wielkiem zadowoleniem, a jeśli nawet nie zgodzi się z autorem, to w każdym razie uzna zaeność i uczciwość jego zamiarów i szczytność poglądów jego, które bardziej może niż inne zasługują na miano „religijnych“.

*Ludwik Inlender.*

**J A D,**

**POWIEŚĆ**

**ALEKSANDRA KIELLANDA**

przetłóżył

**A d i n.**

(Ciąg dalszy.)

Po jego odejściu profesorowa zamyśliła się, gniewałoby ją, gdyby na prawdę miał wyjechać. Postanowiła zapytać męża, dlaczego nie subskrybuje kilka akcyj, jeżeli od niego wszystko zależy. Profesor odpowiedział — rozmowa toczyła się przy stole — że z zasady nie umieszcza pieniędzy w tego rodzaju przedsiębiorstwach.

„Ależ tu nie widzę ryzyka!“

„Nie przeczę. Być może, że interes jest dobry“.

„Powiedz mi szczerze Karsten -- czy nie masz zaufania do tej fabryki?“

„Jeżeli mam mówić szczerze: nie. Ja sam znam się bardzo mało na praktycznej chemji, a tuncji, którzy mają dać pieniądze — tym mniej. W takich warunkach trudno, żeby interes był dobry“.

„Ależ Mordtmann ma objąć kierownictwo, a on wszakże rozumie tę rzecz“.

„Być może, że tak, być może i nie. Firma jego ojca nie bardzo jest poważaną, a dom angielski o którym on tyle mówi, doład wcale nie subskrybował“.

„Lecz czy rozważasz wszystkie korzyści? Mordtmann sam kierował w Anglii zakładem takim i—“.

„Czy mówiłaś niedawno z Mordtmannem?“

„Tak. Złożył mi dziś rano wizytę i opowiedział mi, że subskrybcja nie może być przeprowadzoną, jak długo ty nie bierzesz w niej udziału“.

„O teraz rozumiem! Pan Mordtmann obliczył to dobrze“.

„Wstydz się Karsten, zawsze ci się zdaje, że wszyscy tak są wyrachowani jak ty. Opowiedział mi to wszystko jak najnaturalniej, i ani jemu, ani mnie przez myśl nie przeszło, żebym ja miała wtrącać się do tej sprawy“.

„Ależ bądź jak bądź, Michał Mordtmann, jest“...

„Bergencykiem, chcesz powiedzieć — widzę to“ rzekła profesorowa z goryczą.

„No tak, coś podobnego chciałem powiedzieć. Jeżeli zresztą życzysz sobie wziąć udział w tem przedsiębiorstwie, ja nie mam nic przeciwko temu; subskrybuję akcyj ile ci się podoba, wszak pieniądze twoje“.

„Wiesz Karsten, że nie lubię słuchać takich rzeczy, że nie wtrącam się do spraw pieniężnych; przezemnie nie potrzebujesz subskrybować akcyj — bynajmniej“. — Profesorowa zapalała się w rozmowie; w miarę tego profesor stawał się chłodniejszym, spokojniejszym.

„Ależ będziesz miała akcje, kochana Weneke“, odrzekł, „widzę przecież żeś ich zapagnęła; i twego kochanego Mordtmanna zatrzymamy przytem“.

Abraham skrycie patrzył to na ojca to na matkę. Nie rozumiał rozmowy; widział tylko — nie po raz pierwszy — że matka była gwałtowną, ojciec zaś łagodnym i uprzejmym.

Popołudniu miał jak zwykle, pracować z Mariusem, ale nie miał do tego ochoty. Było to w pierwszych dniach maja, i mieli powtórzyć wszystkie przedmioty, do głównego egzaminu, który miał rozstrzygnąć o losie małego Mariusa. Toteż Marius śleczył gorliwie nad książkami, podczas gdy Abraham najmniej do tego nie zdradzał ochoty.



„Abraham wyprawiał istne komedje z greką i matematyką, ku największej zgrozie Mariusa: w końcu dopadł Pontoppidana Objaśnień do Biblii, które ośmiokrotnie w szkole przerabiane były, i wygłaszał je — spiewem. Marius śmiał się i prosił na przemiany: ale z Abrahamem nie było rady, rzucił książkami o ziemię i rzekł: „Chodźmy wiosłować i ryby łowić“. Marius nie miał siły oprzeć się, i tak puścili się czółnem na wodę. Wieczór wiosenny był przeudny.

Następstwem tego było, że nazajutrz Mariusowi źle bardzo się powiodło. Sama świadomość, że nie był tak dobrze przygotowanym jak zwykle, czyniła go niepewnym i zmieszanym. Nadto, zło żyło się tak nieszczęśliwie, że rektor przyszedł na Aalboma godzinę łaciny, nadzorować naukę. Aalbom zatem chciał pokazać rektorowi, jak daleko zaszła kochana młodzież pod jego komendą: wywołał najpierw prymusa, a potem Mariusa.

Abraham siedział jak na żarzących węglach; znał Mariusa na wylot i wiedział jak łatwo było skonfundować tę wielką głowę łada czem. Już przedtem przy grece utykał; ale Aalbom znosił dobrotliwie, że Abraham (po przez stół) podpowiadał każde słowo. Podczas tego rzekł Marius do Abrahama: „Nie powinienes być namówić mnie wczoraj do wiosłowania Abrahamie! Nie nie umiem, a będę pewnie pytany ze wszystkich przedmiotów, dostanę najgorszą cenzurę i zostanę w klasie“.

Abraham zaczynał pojmywać, jakie to miało znaczenie dla Mariusa: przedtem nigdy nie zastanowił się nad tem. Gdy Marius odczytywał zupełnie błędnie Ode Horacego, przyszło mu na myśl, jak opuszczonym byłby najlepszy przyjaciel jego, gdyby musiał pozostać w klasie pomiędzy nowymi kolegami.

„Nie, nie, Gottwald, ty nie wiesz co mówisz“ rzekł adjunkt Aalbom z kociem przymileniem, podczas, gdy Marius robił jeden błąd za drugim.

Nie mógł go łajać z powodu rektora.

„Pomyśłże chłopcze, fallo, feffeli powiadasz, bardzo dobrze: ale teraz supinum mój kochany. supinum!“ „— fe — fe — fe —“ wyjąknął Marius zupełnie bezradny: pomieszało mu się w głowie do reszty.

„Ależ proszę cię na miłość boską, cóż to za szczególne supinum?“ wrzasnął Aalbom; wzrok rektora uspokoił go znowu; „pomyśłże Gottwald, znasz wszakże te verba tak dobrze, gdybyś tylko zastanowił się trochę; jest ich tylko trzy lub cztery; znasz wszakże: pello, pepulli, pulsum, a więc: fallo, feffelli — no?“ „Pulsum“, odrzekł Marius związując niebieską chustkę od nosa około palców.

„Co za niedorzeczność! Gottwald, czy drwisz sobie ze mnie? — Zapewne, pan rektor ma słuszność, trzeba być spokojnym! tylko spokojnie mój chłopcze, jakoś to będzie; zacznijmy od początku, od tych rzeczy, które umiesz wyliczyć na palcach — tylko spokojnie chłopcze!“ Głos jego drżał ze złości — „a więc amo — amavi, a — powiedźże supinum? — ama“ „Ama“ powtórzył Marius opuszczając chustkę od nosa.

„Nie, tego za wiele!“ wrzasnął Aalbom, niepomny obecności rektora: czy wzięłeś na knąbrność ty chłystku, czy co? Jak się nazywa okrągły stół po łacinie? — okrągły stół? Czy odpowiesz — co?“

Lecz usta Mariusa nie wydały głosu: adjunkt zaś rzucił się ku niemu jak gdyby go bić chciał, nie uwzględniając rektora. Zamiar ten — jeżeli istniał — nie mógł być wykonanym: bo zanim Aalbom go dosięgnął, Marius upadł jak długi między stół a ławkę. „Upadł?“ spytał rektor i zbliżył się do Aalboma, który pochylony nad stołem wpatrywał się nieruchomie w Mariusa. Nagle wśród klasy, podniósł się głos drżący od wzruszenia, przerywany łkaniem. Obecni ujrzeli jak Abraham Lövdahl podniósł się z miejsca i stał błądy, zmieniony. „To niecie, to podle“ powtarzał, grożąc adjunktowi ściśniętą pięścią: „jesteś pan — pan jesteś — szatanem“, wybuchnął wreszcie i chwycił silną dłonią za krawędź stoła.

„Abraham! Abraham Lövdahl! Czy oszalałeś chłopcze!“ zawołał rektor, przełknięty, jak nigdy przedtem. Nawet Aalbom stał jak skamieniały, i prawie zapomniiał o Mariusie, który nieruchomie leżał na ziemi. Ale Morten energicznie odsunął ławkę od stołu, i podniósł Mariusa: błądy był i oczy miał przymknięte.

„Przynieście wody“ rzekł Morten, podtrzymując Mariusa.

„Tak — wody“ — odrzekł teraz adjunkt: „Gottwald jest chory. Co za głupstwo przysyłać chłopca chorego do szkoły“. Podczas tego rektor stał przed Abrahamem, fiksując go wzrokiem; nareszcie rzekł cicho ale ostro: „Idź do domu Lövdahl! Ja udam się do twoich rodziców.“ Głucha była cisza w klasie, gdy Abraham spakował swoje książki i wyszedł. Oburzenie, które się w nim było zbudziło gdy adjunkt dręczył jego przyjaciela Mariusa, zaczynało się ulatniać; a gdy wychodził sam z podwórza szkolnego — było to podczas godziny — przyszło mu na myśl co on też zrobił, i co ojciec na to powie. Nie miał odwagi pójść wprost do domu: złożył książki u zna-



jomego kupca i poszedł w około przez wschodnią część miasta, gdzie nie obawiał się spotkać z ojcem.

Tymczasem Marius, skropiony zimną wodą, odzyskał przytomność; leżał potem na sofie u rektora, gdzie mu zadawano wzmacniających kropli, tak długo aż nie orzeźwił się o tyle, że można go było z pedelem odesłać do domu. Paní Gottwald mieszkała w mieście niedaleko szkoły.

Marius opuścił szkołę błady i nawpół nieprzytomny, sparty na pedela, który niósł książki jego. Uczniowie niższych klas biegli naprzód niego, chcąc mu zajrzeć w twarz; niektórzy zaczęli sobie drwić z „króla szczurów“, lecz jeden z pomiędzy nich odezwał się: „dajcie mu spokój, on chory“. I tak Marius poraz pierwszy przeszedł spokojnie przez szeregi nieprzyjaciół swoich.

Rektor byłby się całkiem inaczej zajął swoim „małym profesorem“, gdyby wystąpienie Abrahama nie było go zupełnie zaabsorbowało. Mogło się przecież łatwo zdarzyć, że uczeń zachorował podczas nauki; Marius pewnie musiał być już przedtem chory dzień cały, co łatwo można było wynioskować z jego odpowiedzi; robił wszakże nawet w skandowaniu błędy, co mu się zresztą nigdy nie zdarzało. Rektor miał prawie ochotę wtórować Aalbomowi, gdy ten ciągle narzekał, że to głupota posyłać chore dzieci do szkoły. Ale Abraham Lövdahl znalazł się zuchwale i wyzywająco, okazał wyraźną krnąbrność. Trudno było przeoczyć że u tego chłopca, pod powierzchownością miłą i otwartą, kryły się najniebezpieczniejsze zarodki. Gdyby to chociaż był syn nieokrzesanych rodziców, jak to ich było tyłu w szkole! Ale syn profesora Lövdahla, człowieka tak umiarkowanego, tak zanego i wykształconego; że też jedyny syn takiego męża objawia nagle taką bezdeń upór i krnąbrność!

„Matka jego jest charakterem nader opożycyjnym“, zauważył ostrożnie adjunkt Aalbom; wiedział bowiem, że profesorowa była w łaskach u rektora. Rektor odwrócił się i nie odpowiedział; przyszła mu na myśl ostatnia rozmowa na zebraniu u profesora, dlatego też nie poszedł do państwa Lövdahl, jak to pierwotnie było jego zamiarem. Natomiast napisał poważny list do profesora, w którym przedstawił całe zajście i ze stanowiska pedagoga i przyjaciela domu wyraził swoje przekonanie, że tylko przez energiczne wystąpienie i krótką surowość, można jeszcze poskromić złe skłonności, które się objawiają w charakterze kochanego Abrahama.

Profesor Lövdahl otrzymał ten list podczas godziny konsultacyjnej, wrażenie jakie odebrał,

było tak wielkie, że odesłał pacjentów, każąc im czekać następnego dnia. Nigdy nie byłby pomyślał że jego syn mógłby tak się znaleźć. On sam przeszedł przywoicie i nienagannie drogę życia. Nikt nie mógł o nim powiedzieć, jakoby się kiedy upokorzył; i owszem umiał ludziom inponować. Ale nigdy nie pozwolił sobie najdrobniejszego uchybienia wobec wyższych, nigdy w duszy jego nie zbudziło się nic do buntu podobnego. Zrazu nie mógł wprost zrozumieć, skąd się to Abrahamowi wzięło, mianowicie w tym wypadku, który go przecież nic nie obchodził. Przypuściwszy nawet, że nauczyciel był trochę gwałtownym wobec Gottwalda, cóż to za powód do takiej irytacji, dla czegoż narażać się na tak wielkie nieprzyjemności — dla drugiego? Ale temu to już chyba winna była ta głupia przyjaźń, te przesadne wyobrażenia o odwadze i wierności, których źródło profesor znał aż nadto dobrze. Od dawna już przewidywał, że pomiędzy nim a jego żoną musi kiedyś przyjść do rozstrzygającej walki o syna; dotąd wymijał zawsze i odkładał rzecz tę, bo nie lubił niezgody w domu. Teraz jednak mnożyły się oznaki, że ta walka się zbliża.

Dyskusja na ostatniem zebraniu w jego domu, była omawiana i komentowana po całym mieście: przyjaciele i przyjaciółki dokuczali profesorowi piętnując rzecz całą jako skandal niejako. Od wczoraj zresztą, od owej rozmowy o akejach fabryki, cicha nieprzyjaźń zapanowała pomiędzy profesorem a żoną jego.

Profesor poszedł zaraz wczoraj do stowarzyszenia handlowego i subskrybował dziesięć akeji. Zrobiwszy to, zaczął się co prawda zastanawiać że to kwota zbyt znaczna; było to jednak zgodnem z całym postępowaniem jego z żoną. Obecnie po zajściu z Abrahamem czuł się silnym: jakkolwiek nieufność syna gniewała go i martwiła nawet, niemniej doznawał pewnej satysfakcji na myśl, jak teraz będzie mógł ostro wystąpić przeciwko żonie. Przez kilka lat cieple i chłodne było ich pożycie małżeńskie; ona zapalała się łatwo lecz on, zawsze spokojny, w każdej chwili umiał zamaskować jej niezwykle pomysły. W końcu obudziło się w niej uczucie wzdąry przeciwko niemu, podczas gdy on odgadując to, niczego tak gorąco nie pragnął jak upokorzyć ją i pokonać.

„Otóż mamy skutki twojej metody“, rzekł wchodząc do pokoju jadalnego z listem w rękę: „mówiłem zawsze, że ty psujesz chłopca wszczepiając w niego ekscentryczne idee swoje; otóż masz teraz. Przeczytaj ten list od rektora; Abraham podniósł bunt w szkole“.



„Ależ proszę cię Karsten, cóż to znaczy?”

„Zbuntował się przeciwko nauczycielom, groził im pięściami, a adjunkta Aalboma nazwał szatanem”.

„Dzięki Bogu że nic gorszego” wyrzekła z uspokojeniem profesorowa.

„Nic gorszego? Nic gorszego? Tak, to całkiem do ciebie podobne! Toć ty już nie umiesz sympatyzować z niczem, jak tylko z buntem i rebelją! Ale teraz powiem ci coś, moja wielce szanowna małżonko; teraz cierpliwość moja doszła kresu. Syn to wszakże i mój, a ja niechcę zrobić z niego niecnego radykała, któryby na rodzinę moją wstyd i hańbę sprowadzał i wyrzutkiem społeczeństwa na zawsze pozostał. Dość długo przypatrywałem się, jak go nasycaliś przewrotnymi ideami swemi, które oto zaczynają skutkować; pozwólże teraz, że jako ojciec wezmę rzecz całą w swoje ręce, ażeby uratować co jest jeszcze do uratowania. Czy on jest w domu?”

„Nie widziałam go”.

(Ciąg dalszy nast.)

## Dwa widzenia

przez

Bolesława Czerwińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Biały olbrzym.

Wracając do tego, co powiedziałem. Ja do tej spiżarni życia, z której obaj czerpiemy —

Czarny olbrzym.

Tak, obaj czerpiemy! Tylko ty miód. Ja piołun, ty promień słoneczny. Ja zatęchły cień piwniczny, ty róża, ja osty!

Biały olbrzym.

Nie przeszkadzaj. bo się nigdy nie porozumiemy. Ja do tej spiżarni życia, z której oba czerpiemy. Włożyłem roztropność, zapobiegliwość, wiedzę, talent i pracę duchową, ty zaś wkładasz wprawdzie ciągle, ale tylko pracę fizyczną. Zastanowiwszy się przyznasz, że wkładki nasze nie są równe; moja jest stokroć większą, bo jest pracą twórczego ducha, podczas gdy twoja jest robotą mechaniczną. Chcesz abym ci powiedział, dla czego tak nienawidzisz tę przezemnie stworzoną maszynę, dla czego na nią plujesz? Oto nie dla czego innego, tylko dla tego, że czujesz, iż jej praca jest tego samego rodzaju, co twoja, tylko szybsza, wydawniejsza i dokładniejsza!

Czarny olbrzym.

Przyzwyczaiłem się już dawno do nragowisk. Ale mów dalej czego chcesz?

Biały olbrzym.

Otoż, jak powiedziałem, wkład naszej pracy nie jest równy, to też mam prawo czerpać więcej niż ty z nagromadzonych zasobów. Ty chciałbyś równego podziału, więcej jeszcze, chciałbyś mnie zaprzęgnąć do tej roboty, którą sam wykonujesz, a sam zając moje miejsce. Jest to nierozsądne, niesłuszne i niemożliwe. Już sama natura nas odmiennie ukształtowała tobie dając silną muskulaturę, a u mnie wydelikacując mózgową tkaninę. Podział pracy istnieć musi. Ja jednak w łaskawości swojej chcę ulżyć twemu losowi, wydzielę ci trochę więcej jadła i napitku i pozwolę ci brać z duchowej skarbnicy tyle, ile twoje siły umysłowe wytrzymają i na ile czas ci pozwoli. Jestto z mojej strony poświęcenie, ale poświęcenie ostatnie!

Czarny olbrzym.

Słuchałem twych bredni i krótko odpowiem. Kłamiesz mówiąc, że ty tylko włożyłeś pracę duchową, a ja żadnej. Składaliśmy się razem, ty tylko byłeś przebieglejszy, a ja dobroduszniejszy. Pierwszy drobny wynalazek, na który wpadliśmy, nie dozwalał nawet przypuszczać, że będzie podstawą tego ogromnego przedziału, jaki między nami nastąpił. Przywłaszczyłeś go sobie, a ja nie przeczuwając następstw nie upominałem się, aby go zawsze w równej mierze i na wspólną korzyść używać. Z tą chwilą miałeś już przewagę nademną, o której wówczas ani mi się śniło, to też początkowo cieszyłem się nawet, że nie wiele więcej od ciebie wkładając pracy, niosę ci ulgę i umożliwiam ci coraz większe udoskonalenie. Miłość braterska w twojem szczęściu kazała mi swoje widzieć. Z czasem jednak to drobne ziarno małego, pierwszego wynalazku coraz bardziej zaczęło się rozrastać w drzewo postępu; i ja chodziłem koło niego i ja je potem podlewałem, ale tyś już był jego właścicielem, a ja sługą. Upominałem się półgłosem o moje prawa, przemawiałem jak brat do brata — napróżno! Tyś przez ten czas w używaniu wydelikatniał, duch twój mając więcej czasu do doskonalenia się rozwinął się bardziej i zmęźniał — toż gdy o braterstwie mówić ci począłem zawołałeś z szyderstwem: »Co? ten gruby chłop, ma być moim bratem? Wszakże moja płeć biała, jego czarna, moje pragnienia inne, jego inne: to istota, która mało co się wzniosła pod nad zwierzę, a ja w pełnem znaczeniu tego wyrazu człowiek! Precz z braterstwem urojonem, między nami może istnieć tylko jeden stosunek: panowania i służebnictwa!»



Wściekłość mię ogarnęła, rzuciłem się na ciebie, zacząłem dusić muskularnemi rękoma, gnieść grubemi kolanami, ale walka była już nierówną. Jam miał tylko siłę mięśni, ty zręczność, fortele, podstęp, a do tego już miałeś czas wyrobić sobie obrońców, w tych karlikach, którzy ciągle cię otaczają. Pokaleczony, krwią oblany, upadłem w zemdleniu. Mogłeś mię być zabić, ale tego nie uczyniłeś. Z miłości, z litości? Gdzież tam, z czystego wyrachowania, bo gdyby mnie nie stało, sam przy swojej wyższości duchowej, której nie mogę ci zaprzeczyć, byłbyś musiał jąć się ciężkiej pracy, która by cię była poniżyła. Głupiec tylko zabija robocze zwierzę, które dobrze ciągnie, a ty głupcem nie byłeś. Postanowiłeś tylko uczynić mię jak najmniej niebezpiecznym dla siebie, zabić we mnie możność wszelkiego oporu, zniszczyć wiarę w własne siły i los jakiś lepszy. W tym celu zamknąłeś przedemną krynicę wiedzy i wmawiałeś we mnie, że to co istnieje, jest postanowionem na wieki przez Najwyższego, że inaczej być nie może. Spracowanemu, nie mającemu ani czasu, ani środków do zdobycia wiedzy, przedstawiałeś ciągle, Faryzeuszu, że nie mam ci czego zazdrościć. Wmawiałeś we mnie, że ten chleb czarny, potem i łzami oblany, który spożywam, lepszym i zdrowszym jest od twoich łakoci! Poniżyłeś mię moralnie, nauczyłeś alkoholem otumaniać wnętrznosci, dopominające się posilnego jadła: z jednej strony wynaturzyłeś mię cynizmem, z drugiej za żywot pełen trosk i nędzy stawiałeś mi w perspektywie szczęśliwość duchową, wypływającą z poskromienia zachceń fizycznych. Ale oszukałeś się na swojej metodzie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek obudziła się we mnie samowiedza: czuję, że jeżeli nie lepszym, to z pewnością gorszym od ciebie nie jestem. Mam prawo do życia. I ja chcę zadowolić ciało i ja pragnę rozkoszy! Ofiarujesz mi jałmużnę, nie chcę jej, bo mam prawo do wspólnego dziedzictwa!

#### Biały olbrzym.

Jak pozytywka powtarzasz jedną i tę samą piosenkę, którą już dawno umiem na pamięć. Niedowierzanie ku mnie, nie wchodzi w to, czy usprawiedliwione, czy nie, zamaca ci i tak słaby rozum. Toż wzywam was wszystkie potęgi ziemskie i duchowe, starajcie się załagodzić spór nasz odwieczny!

Powstał szum straszliwy, wiatr zadał wściekle, tumany kurzu zastąpiły powietrzną białą oponą. Gdy kurz opadł, zobaczyłem dziwną figurę, kroczącą ku braciom olbrzymom. Człowiek mały, garbaty, o cynicznym i szyderskim wyrazie twarzy usiadł niedbale i zachichotał jak szatan...

#### Czarny olbrzym.

Tyś mu przyszedł na pomoc, stary hajdaku?—Ah prawda, wszak tyś jego dziecięciem, wyskoczyłeś z jego głowy, jak Minerwa z głowy Jowisza, gdy jakąś zbrodnię wymyślał.

#### Garbus.

Cicho, głupie bydlę! Milez i słuchaj! I ty słuchaj, paniezu! W zarozumiałości waszej zdaje wam się, że jesteście czemś więcej nad tego psa, co waszego domu pilnuje, nad tego konia, co wóz wasz ciągnie. Każdy pragnie zwać na drugiego ciężką pracę — ha! ha! ha! śmiech mię zbiera — czerpiąc z jakiejś krynicy duchowej uszlachetniać się, dążyć gdzieś wysoko, djabli was wiedzą jak wysoko! Nie jesteście niczem więcej jak chemiczną retortą, w której pewne składniki podług niezłomnych praw natury wchodzą w pewne związki; niczem więcej jak kunsztownym zlepkiem nerwów, mięśni, krwi, tłuszczu i kości. To co nazywacie duchową krynicą, jest błagą, bo żaden duch nie istnieje. Przyjdzie chwila, gdy każdy z was pójdzie zwykłą koleją materji, rozłoży się w inne związki chemiczne, bez żadnej samowiedzy i na tem koniec wielkości waszego człowieczeństwa, którem się tak chełpicie. Ten duch wasz, to nicosć, to próżnia! O cóż więc staczacie walkę? O jadło, napitek, odzienie, rozkosze! Na pozór to rzecz realna, ale zastanów się, ty czarny gburze, czy cała ta walka się opłaci? Sam przyznajesz, że on (tu wskazał na białego olbrzyma) silniejszy jest od ciebie w wiedzę, fortele, podstęp, że przygotował się na wszelki wypadek, ty zaś nie możesz mu nic przeciwstawić nad siłę mięśni. Walka nierówna skończyć musiałaby się twoją klęską, a im dłużej by trwała, tem ta klęska dotkliwszą byłaby dla ciebie, on bowiem ma tysiące sposobów, aby jak najprędzej wszelkie zło poniesione powetować, ty zaś ich zupełnie pozbawion jesteś! Rozważmy dalej. Związek materji, w tej formie, jaką przedstawicie, jest czasowy — po pewnym przeciągu czasu istnieć obaj przestajecie. Czy ten czas wystarczy, do zakończenia walki, do wygojenia się z ran? Gdyby i tak było, czy pozostanie ci, mój czarnuchu, dosyć czasu na używanie tego, czego tak gorąco pragniesz? Czy ta chwila użycia warta jest dni, miesięcy, lat, wieków, nateżenia, bólów i ran krwawych? Zresztą wszystko, czego pożądasz, nie wyszłoby ci na zdrowie. Fizjologicznie przyzwyczaiłeś się do pewnego trybu życia, do pewnych pokarmów, do pewnych napojów. Pod karą śmierci tego sposobu życia raptownie zmieniać ci nie wolno! Wierzajcie mi, że obaj w swoim zakresie możecie być szczęśliwi. Jednemu życie spokojne, połączone z pewnymi wy-



gódkami, odbiera apetyt, to też zmusza go do spożywania najdelikatniejszych frykasów, drugiemu ruch i praca ocukrzają najprostszą nawet potrawę; po pewnem kwantum napojów, gdy nerwy do najwyższego stopnia są podniecone, smakuje jednakowo rostruchan wina Samijskiego, jak kielich zwykłego, wodą rozpuszczonego alkoholu, a wdzięki kobiece jednakowo wam obu się uśmiechają. Hej! dziewczęta! nieprawdaż?

Chór kurtyzanek.

Na nasze łona, w uściski nasze! Dla jednego i drugiego wśród nas świat rozkoszy stoi otworem. Jak Fenix odrodzi się jeden i drugi wśród namiętnych płomieni. Wobec namiętnych żądź — wszystko niczem! Dalej w uściski nasze!

Czarny olbrzym.

Ja chcę jednego i drugiego, chcę rozkoszy wywczasu, spokoju, delikatnego zaspokojenia gardła i podniebienia, wzroku i słuchu, słowem wszystkiego, co jego jest udziałem, a zarazem tych rozkoszy, których dotychczas zarówno jako istoty cielesne używamy. Pięknie rzecz przedstawiłeś, brzydku garbusie, powiedziałeś, żeśmy obydwaj niczem więcej niż ten pies, co wrót naszych pilnuje, niż ten koń, co wóz ciągnie, ale do jakiej doszedłeś konsekwencji? Oto, że jeden pies, jeden koń lepszy od drugiego! O ile od ciebie lepszy ów człowiek, mieniący się sługą Najwyższego, ten mi przynajmniej obiecuje lepszą przyszłość, w nieznanych, zaziemskich krainach, a ty nie dajesz nic — nie — nie!

Garbus.

On cię oszukuje fantazją, ja podaję ci wyniki najściślejszej nauki!

Czarny olbrzym.

Plwam na twoją naukę, bo cóż mi z niej przyjdzie? Nędzy mej ona nie polepszy, a do fizycznych bólów i trosk dodaje jeszcze ból duszy, odbierasz mi bowiem nawet marzenia o lepszej przyszłości. A czy wiesz ty, że w nieszczęściu marzenie to rozkosz, że ono jedynie daje mi w życiu kilka chwil szczęśliwych. Jeżeli więc nie możesz mi realnych dać rozkoszy, dla czego odbierasz te, które daje fantazja? Najpodlejszy z służalców swego pana, pogardy godny sofisto — precz, bo cię rzucę pod koła maszyny, aby ci garb rozprostowała!

Maszyna zahaczała silniej jakby z radości, że odwilży swe tryby świeżą krwią, czarny olbrzym podnosił się powoli z roziskrzonym wzrokiem. Biały, który słuchał garbusa także z widoczną niechęcią, skinął nań, aby się oddalił. Znowu powstał szum wielki, znowu biały kurz zasłonił horyzont, a gdy opadł obaczyłem poważnego białowłosego

starca w długich, czarnych szatach, który zbliżywszy się do obu olbrzymów podniósł rękę do błogosławieństwa. Obaj pochylili głowy: biały olbrzym zrobił głębszy pokłon, ale w wyrazie jego twarzy malowała się hipokryzja, czarny uczynił to niechętnie, jak gdyby mu kto żelazem głowę na dół przyciskał, a na twarzy jego malował się w dziwnej mieszaninie pietyzmu, nienawiści i trwoga!

Starzec.

Pokój wam, pokój, dzieci Wielkiego Ducha! Słyszałem, jak przed chwilą jad w dusze wasze zaszczeptał szatan w postaci brzydkiego, ułomnego człowieka, słyszałem, jak ty, mój czarny synu, odpowiedziałeś na jego bluźnierstwa. Słowom twym brakło prawdziwej wiary, która jedynie zbawia, ale były one zawsze protestem przeciw fałszowi i niegodziwości. Między najlepsze uczynki będzie ci to kiedyś policzone.

Czarny olbrzym.

Ale kiedy?

Starzec.

Kiedy? Oh! To jedno słówko w jakimże świetle duszę twoją przedstawia? Kiedy? Czy wiesz, co to „kiedy“ znaczy? Oto, że zabrnąłeś w doczesności, w materji, tak dalece, iż po za nią, po za jej objawami w czasie nic sobie przedstawić nie możesz! Prawdziwa szczęśliwość leży po za granicami tej materji, w wzniesieniu się duchowem po nad nią! Dla tego najgorzej czynisz zazdroszcząc bratu swemu pewnych przyjemności życia, bo one są mu raczej przeszkodą niż pomocą w osiągnięciu owej szczęśliwości. Ten który był tu poprzednio, mówił dobrze twierdząc, że forma cielesna ziemskiego waszego bytu jest przejściową, czasową, ale wniosek fałszywy wyprowadził, bo w krótkowidztwie swem skończył na tej czasowości, a nie pojął, że istnieje pierwiastek wieczny, pierwiastek ducha naszego, który tylko objawia się na zewnątrz za pomocą naszej cielesnej powłoki. Ciało to jest tylko formą ujawniającą się na zewnątrz określonymi kształtami, a na wewnątrz pewnymi związkami chemicznymi, ale istotą, treścią, jądrem naszym jest duch nieśmiertelny, kształcący się ciągle, doskonalący się w tem chwilowem mieszkaniu cielesnem, aby kiedyś czysty, promienny złączyć się z Duchem Najwyższym. Wierząc w to silnie, mając to ciągle na oku inaczey będziemy się zapatrywać na te ziemskie nasze rozkosze i radości, troski i boleści, im wyżej się wzniesiemy, tem będą one nam się zdawać bardziej mało znaczące, nie warte, aby do nich taką przywiązywać wagę — a wtedy w szlachetnej istocie ducha naszego znajdziemy zadowolenie i spo-



kój. Jakże długo wam to przedstawiam, jak długo pracuję nad tem, żeby wlać w was obu to wielkie przeświadczenie, które szczególnie tobie, czarny mój bracie, jest potrzebne w tej ziemskiej wędrówce, bo daje ci, jak sam powiedziałeś, przyjemne marzenia, a gdybyś wierzył gorąco, dałoby ci nie marzenia, ale pewność lepszej przyszłości! Niestety praca moja nie wydała dotychczas takich owoców, jakie wydać była powinna!...

Czarny olbrzym.

A wiesz dla czego? Bo tak samo, jak ów obrzydliwy garbus, nie byłeś i nie jesteś konsekwentny. Wielki Mistrz, którego boskie słowa powtarzasz, chciał je zastosować w praktyce, chciał i mnie także ulżyć ciężarowi i umożliwić duchowe doskonalenie się, bo ty sam wiesz dobrze, że tylko ten duchowo może się udoskonalać, kto jak najmniej ma trosk życiowych, ten tylko może wznieść się nad pogardzaną przez ciebie materję, kto wolen jest od ciągłego boju o chleb powszedni, komu głód wnętrzości nie targa, komu w pracy nie omdlewają mięśnie, kto wskutek znużenia fizycznego nie przestaje myśleć, nie staje się automatem. Tyś zawsze stał i stoisz po stronie mego brata, bo ci z tem dobrze, obu nam jednakową zapowiadasz szczęśliwość w przyszłości, ale jemu każesz żyć w dostatku, mnie w nędzy i poniżeniu. Na to nie znajdujesz żadnej rady!

Starzec.

Mylisz się — rada jest i głoszę ją od tysięcy lat. Jest nią miłosierdzie!

Czarny olbrzym.

Jałnużna! (Poczerwieniał cały i zgrzytnął zębami).

Starzec.

Zbyt wielką wagę do słów przywiązujesz, a tu nie o wyrazy, ale o rzecz idzie. Duch najwyższy włożył w wasze łona te szlachetne popędy, które tylko rozwinąć należy, aby szczęście i pokój zapanowały.

Czarny olbrzym.

Miłosierdzie, mówisz, dobrze — miłosierdzie to znaczy „milde serce“, czułe serce, dobre serce, miłość — tak, niechajże ono rządzi — ale miłosierdzie bez granic — ale miłość bez granic. Ja tego miłosierdzia, tej miłości czynem stwierdzać nie mogę, bo brak mi środków do tego, to sprawa mego brata i w jego ręku leży jej załatwienie.

Biały olbrzym.

Chcę uczynić, co w mojej mocy — w pewnych granicach.

Nastąpiło długie milczenie. Czarny zaczął znowu nalegać na starca, aby ten poszedł dalej w swych wywodach i otwarcie stanął po jego stronie. Starzec nie rzekł już ani słowa i odszedł powoli z podniesionymi do błogosławieństwa rękoma. W oddali ktoś ostro, szyderczo zachichotał; poznałem głos garbusa.

Teraz dziwną rzecz ujrzałem. Powietrze stało się stokroć bardziej przezroczyste — horyzont mocno się rozszerzył. Ujrzałem setki par takich olbrzymów, jakich rozmowy dotychczas śledziłem. Wszędzie między oboma był ten sam stosunek, choć stopień rozwoju nie wszędzie był jednakowy. Gdziekolwiek było stokroć jeszcze gorzej — nigdzie lepiej. W pewnych miejscach czarny był okowany łańcuchami, a biały nagał go biczem do pracy: maszyn na całym obszarze stosunkowo było jeszcze niewiele; w kilku miejscach pracowano na ziemi rękami lub prymitywnymi narzędziami. Ale wszędzie widziałem błyski nienawiści i od czasu do czasu groźnie podnoszące się pięści. Każda para mieszkała na pewnym, ograniczonym obszarze. Wielkość tych obszarów oznaczały słupy różnokolorowe. Nagle najbliższy nam słup wstrząsnął się, na szczyt jego wyskoczyła głowa. Wielkie, przenikliwe oczy miały wyraz nieubłaganej surowości, szeroko otwarte usta były blade i zimne. Obaj bracia zadrżeli na całym ciele. Głosem matowym, jakby dwa kawałki drzewa larły się o siebie, słup przemówił.

Słup.

Walczyście między sobą, kłóćcie się, bratobójcze ramiona wyciągacie przeciw sobie — a ja, rzecz martwa, przez was stworzona; jam waszym panem! Pokłon mi się od was należy, pokłon głęboki, bo gdyby nie ja, ani dostatki jednego, ani praca drugiego nie miałyby żadnej ochrony. Tak się rozprawiacie z sobą, jakbyście sami istnieli na tym ziemskim globie, jakby po za wami nie było już istot żyjących. Spójrzycie dookoła. Jak daleko wzrok sięga, wszędzie takie jak wy istoty pracują, używają, swarzą się między sobą. Ale jak długo ten spór prowadzą? Dopóki nie upatrzą stosownej chwili, aby pognać sąsiadów, zrobić z nich niewolniki i ssąć krew z nich żywotną. Kiedy to im się udaje? Wtedy, gdy sąsiedzi słabi. A kiedyż oni słabi? Wtedy gdy marnują swe siły na walkę między sobą, a nie mogą zdobyć się wobec obcych na energję w obronie. Tobie, biały panie, zależy więcej na utrzymaniu tego, co i jak jest, korzysz się zawsze przed moją wielkością, całujesz me stopy, jesteś najwierniejszym sługą. Ty, czarny, roboczy Herkulesie, mniej do mnie



jesteś przywiązany, nawet sobie myślisz czasami, że można by cię w piecu spalić, a jednak gdyby mnie nie stało, byłoby ci jeszcze stokrotnie gorzej niż obecnie. Skarżysz się na brata swego, ale zawsze to brat, nie obcy, zawsze odezwie się w jego sercu uczucie bodaj litości, a wtedy masz chwilę spoczynku i zabawy. Ale obcy nie znają tego uczucia, obcy jednego i drugiego chcieliby zrobić swym niewolnikiem. Powiesz, że wszystko jedno, kto nad tobą panuje... Nieprawda — ten każe ci tylko pracować, tamten radby poniżyć cię gorzej niż zwierzę. Uśmiechasz się złośliwie — wiem co myślisz. Roskosz by ci to sprawiało, gdybyś miał równego towarzysza nędzy w bracie twoim. Byłoby to zrównanie w upodleniu, ale zawsze zrównanie. Otóż — mylisz się, zazdrośniku, mylisz mocno. Białą białego zawsze więcej uszanuje, choć widzi w nim wroga, bo przeszłość ich jednakowa, bo choć obcy i nienawistni — w tem co działali widzą pewne pokrewieństwo ze sobą. To też na wypadek klęski, wszystko zło najbardziej obarczy ciebie, na ciebie spadną wszystkie męki, ty wszystkie gorycze wypijesz. Czyż wobec tego marnować wam siły na kłótnie wzajemne, na waśń braterską?

Wszystkie różnokolorowe słupy zaczęły to samo powtarzać, a głos ten był silny, przenikający jakby grom huczący w czarnej chmurze. Białą olbrzym padł na twarz przed obdarzonym ludzką mową słupem, czarny spuścił głowę pognębiony. Nagle zerwał się i wyprostował.

#### Czarny olbrzym.

Chwilowo przygniotłeś mię swymi strasznymi argumentami, tak że zdawało się, iż nie ma żadnego dla mnie ratunku, ale racja po twojej stronie tylko pozorna! Czyim ty jesteś utworem? Naszym własnym, więc skoro doczesna istota cię uczyniła, czy możesz być wiecznym? Nie — a najlepszy dowód, żeś ty nie pierwszy i nie ostatni, że nie byłeś zawsze na tem miejscu, gdzie obecnie się panoszysz, ale że w czasie odbywałeś i odbywać będziesz rozmaite peregrynacje.

#### Słup.

To co mówisz, jest bluźnierstwem, za które mógłbym cię ukarać, ale wezwał mię brat twój jako rozjemcę, toż ci nawet to bluźnierstwo przebaczam. Nazywasz mię sztucznym utworem. Jestem nim względnie tylko — przeważnie zaś jestem widomym znakiem najświętszej woli waszej matki ukochanej. Niech ona przemówi...

Z piersi obu olbrzymów wydarł się okrzyk, który mną wstrząsnął do głębi: O matko! Było

w nim tyle uczucia, tyle serdecznego ciepła, że całe powietrze napełniło się świeżością i cudowną wonią. Błogi spokój nastąpił, nawet machina nie zgrzytała już tak ostro, tylko wydawała miękkie, harmonijne tony. Dźwięczny i miły głos odezwał się z góry.

#### Matka.

Dziatki moje najmilejsze, które tak ukochałam, które wypieęgnowałam, wychuchałam, wypieściłam, wyplakałam, wymodliłam, słuchajcie słów moich, bo przez nie tylko miłość, tylko Bóg przemawia. Ja was jedną mową szczebiotać nauczyłam, ja nauczyłam was rozmawiać z Najwyższym, kochać ten skrawek ziemi ojczystej, na którym życie i te twory boskie, jakie się na nim znajdują, ja was nauczyłam piosnek serdecznych i cudnych opowieści i przepięknych zwyczajów, dla uprzyjemnienia sobie życia. Ja wam kazałam ciągle o miłości wzajemnej, o zgodzie, o wspieraniu się, o wzajemnych ustępstwach, o duchu przebaczenia i wyrozumiałości. Na miłość moją zaklinam was, stańcie się braćmi nie tylko związkami krwi, ale czynem. A tym czynem niech będzie miłość, bo ona jest początkiem i końcem szczęśliwości. Słyszałam głosy, które wam chciały przemówić do rozumu, ja przemawiam do serca, a wierzajcie mi, że serce łatwo rozwiązuje zagadki, na których odgadnienie rozum napróżno się sili. Wszystko, co dotychczas słyszałam, było skierowane ku tobie, biedny mój, ciemny synaczku, na którego gdy spojrzę, lzy mi oddech tamują — ja przemówię głównie do ciebie, mój biały Benjaminku! Tak, ukochany, ty byłeś Benjeminkiem moim. wyniosła twoja postać napełniała mię dumą macierzyńską, twa nauka, twój postęp, działały na mnie jak balsamy najśodsze. To też, choć obu was kochałam i kocham jednakowo, obdarzałam cię większymi, niż brata względami. „On silniejszy fizycznie, bardziej masyśny“, tak mówiłam do siebie, „on więcej wytrzyma, ty natomiast dasz mu to, do czego on dojść nie jest w możności, a tak wspierając się wzajemnie, będziecie szczęśliwi!“ Zawiodłam się — egoizm, mój biały synaczku, wziął w tobie górę nad sercem braterskim i oto teraz targa mi się serce w łonie, gdy widzę was obu, tak zawziętych przeciw sobie, których nikt pogodzić nie może. Czyżby to braterskie uczucie było tylko iluzją, czechem frazesem? Przecież w ważnych chwilach, gdy obu wam groziło niebezpieczeństwo, to uczucie wiązało was ku wspólnej obronie, spajało was radością w chwilach zwycięstwa, pokrzepiało, podnosiło w dniach klęski. Jakże ty w takich chwilach zmieniałeś się, mój Benjaminku, jak serdecznie przyciskałaś do piersi



czarnego brata twego, choć jego okopconą odzież  
płamiła twe białe żaboty, a odór dymu, którym  
jest przesiąknięty, zabijał woń drogich olejków,  
któremi maścisz ciało twoje...

Biały olbrzym.

Przestań, matko, ty siejesz nienawiść!

Czarny olbrzym.

O mów, mów! Słowa twoje to rosa ożywcza!

Matka.

Dla czegoż te wybuchy miłości w pewnych  
chwilach nie miałyby się zmienić w stosunek stały,  
codzienny, któryby się czynem dokumentował?  
Tak być powinno — tego chciałam, to wam za-  
szczepiałam w młodociane dusze. Pierwszy krok  
stanowczy tobie, mój Benjaminu, uczynić należy,  
brat twój bowiem pozbawion jest możności do  
tego. Ulżyj mu pracy, dopuść go do twego boku,  
wspieraj go swą nauką i doświadczeniem, a szcze-  
ście zakwitnie i obaj uszlachetnieni dążyć będzie-  
cie do coraz to większych wyżyn duchowych.

(Dok. nast.)

## Ks. Zaborski wobec darwinizmu.

Falanga przeciwników teorii descendencji  
dziwny przedstawia widok. Kompetentnych przyro-  
dników znaleźć tam można mało, z tymi się też  
tylko liczone, a dyskusja wskutek ich opozycji  
przyczyniła się do tem silniejszego ugruntowania  
teorii i ogólnego postępu biologii. Zresztą jednak  
przeważna część przeciwników zaciąga się z naj-  
rozmaitszych obozów: są to ludzie, dla których  
milczenie cnotą by było, gdyby się przez gadulstwo  
nie okryli śmiesznością. Mało jest takich, którzyby  
w skromności ducha nie przypisali sobie kompe-  
tencji do rozstrzygania kwestji czysto przyrodniczej  
i zajęli takie stanowisko jak Wojciech hr. Dzie-  
duszycki, który w swym odczycie\*) wygłoszonym  
w Warszawie p. t. «Wspomnienia z Florencji»  
występuje przeciw teorii descendencji, o ile niektó-  
rzy pewne jej konsekwencje przenoszą na pole  
estetyki, ale mimo to tak się wyraża: «Niechaj  
przyrodniczy teorię descendencji doskonałą, niech ją  
ograniczą lub rozszerzą, niech ją poprawią, niech  
ją całkiem odrzuć albo przyjmą bez zmiany, —  
ich to rzecz a z pewnością nie rzecz człowieka, co  
tu przyszedł pogadać o estetycznem współczuciu

z powodu wrażeń odniesionych przed laty w Flo-  
rencji».

Zwykle przeciwnicy niekompetentni nie mogą  
tego przenieść na siebie, aby nie wystąpić w roli  
proroków i nie przestrzedz ludzkości przed całkowi-  
tym upadkiem intelektualnym, moralnym i socjal-  
nym, bo nie masz granic złego, dokąd ich zdaniem  
może zaprowadzić teoria descendencji. W zawodzie  
swoim mogliby to być ludzie weale poważni, gdyby  
nie fatalna chętka rezonowania o naukach przy-  
rodniczych, o których nie mają pojęcia. Mówiąc o  
przemianie gatunków mają ciągle na myśli tych  
kilkaset zwierząt i roślin, które znają powierzchownie  
z popularnych podręczników, a że w życiu codzien-  
nem nie widzą, aby z psów powstawały koty, więc  
jakże tu wytrzymać i nie wypisać filipiki przeciw  
«darwinizmowi». Toteż większość tych bystrych  
«badaczy» ginie w zapomnieniu, bo przyrodniczy, li-  
tując się nad nimi, nie znęcają się, lecz pomijają  
ich wymownem milczeniem, a tylko temu lub owemu  
dostanie się czasem, jeżeli zbyt natręczywie bała-  
suje. Zagranicą tysiące ludzi pracuje dla teorii  
descendencji, toteż tam i strach większy przed  
kompromitacją i respekt przed siłą liczebną, u nas  
przyrodników mało, a ci aż zbyt łaskawie mileją  
na zaczepki. Wielokrotnie znajdowałem się sam  
w tem położeniu, iż powiedziałem sobie: «Szkoda  
czasu znęcać się nad nieuetwem», lecz widzę, że  
u nas wszyscy przyrodniczy tak sobie mówią, co  
tak ośmiela dyletanckich debutantów, że coraz  
częściej podnoszą głowy, nie bojąc się nikogo i  
rozsiewają fałszywe pogłoski recte plotki naukowe.  
Wobec tego postanowiłem exempli gratia dać na-  
leżyłą odprawę dyletantyzmowi, aby zbyt nie  
tryumfował i nie sądził, że u nas niema komu na-  
kazać mu przyzwoitego milczenia.

Najzabawniejszym przeciwnikiem teorii descen-  
dencji jest u nas Dr. Humiecki\*), który nie-  
dawno wydał swe rozpamiętywania w formie listów  
do jakiejs panny, zapewne swej narzeczonej. W tych  
liścikach miłosnych wrzuca autor cały darwinizm do  
błota, mimo, że sam nie ma o nim pojęcia i zdra-  
dza na każdym kroku tak haniebnym obskurantyzm,  
że musiałbym tu chyba jedno jego zdanie za dru-  
giem przedrukowywać, aby go podać na publiczne  
pośmiewisko. Autor ten jest jednak przez swój zu-  
pełny brak wiedzy tak nieszkodliwy, że każdy dy-  
letant sam się z niego naśmiejże do rozpuku bez  
obcych komentarzy. Takie curiosa usuwają się same  
z pod krytyki. Tyle tylko powiemy, że autor tych  
liścików widocznie na żądanie swej narzeczonej pu-  
blicznie wyparł się przed ślubem wszelkiej współ-

\*) Druk. w Tygodniku ilustrowanym, Warszawa 1879.

\*) Dr. Humiecki, Darwinizm. Lwów, 1878.



ności z «darwinistycznym samogwałtem rozumu i uczucia» (ipsissima verba autora pisane do narzeczonej!) Autor ten zasługuje przynajmniej o tyle na uznanie, że swą przedślubną publikację widocznie w pośpiechu krótko napisał dla zabawy i rozweselenia umysłów. Można mieć pretensję do niego tylko o tyle, że madrygału swego nie opatrzył tytułem erotycznym nienaukowym, że zwodzi czytelnika tytułami i na okładce nie przyznaje się do tego, co się wewnątrz mieści. \*)

Inna rzecz z ks. Zaborskim.\*\*) którego praca z wielu względów zasługuje na obszerniejszą ocenę.

Autor ten uważa się u nas za najpierwszą powagę w teorii descendencji, powiada bowiem (str. 9): «Za i przeciw teorii Darwina wiele już ksiąg napisano przeważnie za granicą: u nas pobieżnie ta rzecz była traktowana: wielbiciele w skromnych treściach artykułach występowali z deklamacją, przeciwnicy nie dość systematyczne zarzuty przeciw niej podnosili — chcieliśmy uniknąć tych przywar». Kto tak śmiało przemawia i chwycił berło w rękę, napisawszy rozprawę na 249 stronicach, temu warto się przecież bliżej przyglądać i zapytać, co zacz jest. Obliczyć trzeba się z nim tem bardziej, ile że zapewnia czytelnika, iż jest przyrodnikiem, a więc człowiekiem kompetentnym, czego ślad znajdujemy w następującem ustępie str. 9.: «Przystępując do badania kwestji, nie liczyliśmy się ani do zwolenników, ani do przeciwników Darwina, aniśmy potrzebowali, aniśmy chcieli jej na-przód przesądzać. Jako chrześcijanie nie mamy nic przeciw zmienności gatunku. P. Bogu bowiem nie podobało się objawić nam, w jaki sposób powołał do życia jestestwa organiczne; jako przyrodnicy nie należymy do żadnej szkoły, nie mamy pociągu osobistego do żadnego systemu, nie odrzucamy żadnego, lecz nie przyjmujemy pierwszego lepszego bez należytego zbadania». W słowach tych maluje także autor swą zupełną bezstronność, brak wszelkiego uprzedzenia i wyłączną chęć zbadania prawdy, używa zatem całego aparatu retorycznego ad captandam benevolentiam. Obok tego wszystkiego wpadają czytelnikowi w oczy liczne cytaty angielskie, francuskie i niemieckie, powierzchowność książki zdaje się zatem przekonywać, że autor pa-

nuje nad literaturą dotyczącą. Gdy w końcu dodamy, że autor zwykł często dla logicznego przedstawienia rzeczy zestawiać krótko z premis wnioski, którymi w sposób nieubłagany pobija cały transformizm i sprowadza go tryumfalnie ad absurdum w sposób przekonujący każdego prostaczka, więc taż sama zasada logiczna nakazuje zbadać owe premisy, na których są zbudowane owe wnioski, a których pozorną prawdziwość nie każdy prostaczek skontrolować zdoła.

W ogóle zaznaczyć wypada, iż książka ta jest tak sztucznie i sprytnie napisaną, iż każdego nieznającego się dokładnie na rzeczy może przekonać czyli powiedzmy otwarcie zbałamucić. Ta też okoliczność spowodowała mnie, iż piszę niniejszą recenzję w obronie transformizmu w obec szerszych sfer a obrona ta jest tem konieczniejszą, ile że autor, zaczynając podstępnie od zapewnienia o swej obiektywności, kończy na prostem podburzaniu mas przeciw transformistom, nazywając ich nie mniej nie więcej tylko niebezpiecznymi »nihilistami«, z ukrytym celem ściągnięcia na nich prześladowania.

Lecz przystąpmy do rzeczy! Zaczynamy od skonstatowania, że autor pisząc o teorii pochodzenia gatunków nie ma pojęcia o tem, co jest właściwie gatunkiem, przytacza bowiem zastarzałą i wielokrotnie obaloną definicję, że »charakterystycznym znamię gatunku jest własność fizjologiczna, jaką posiadają osobniki, do łatwego i płodnego krzyżowania« (str. 7.) Również fałszywe podaje autor pojęcie rasy i odmiany, nie wie bowiem, że rasy są to odmiany zwierząt domowych, że u dzikich zwierząt nie ma mowy o rasach tem bardziej zaś u roślin. Autor prawi zatem o czemś, czego nie rozumie, nie dziw więc, że się ciągle płacze w niedorzecznościach. Ciekawa jednak rzecz, że właśnie z tej ignorancji kuje on broń przeciw Darwinowi i tryumfuje nad nim, mówiąc (str. 15) »Skoro (Darwin) mówi o odmianie, przytacza własności rasy a wnioskuje o gatunku. Rzecz to arcywygodna, czegoby tym sposobem dowieść nie można było!« Jeżeli ktoś ma fałszywe pojęcie o jakiejś rzeczy, więc właściwie nie ma z nim co mówić o niej, jak rozkazuje kardynalna zasada dyalektyki, bo wszystko, co on powie, będzie gadaniem de lana caprina, zostawiam jednak rzecz tę na boku i badam dalej wiedzę autora.

W ślad za babilońskim pomieszaniem owych pojęć zasadniczych demaskuje się autor jako człowiek nie mający pojęcia o tem, czego właściwie chcą transformiści i co to jest ów transformizm gatunków. Oto na pociechę przyrodników cytujemy co autor prawi na str. 8: »Doszli przemysłni Amerykanie do rasy baranów o krzywych nogach,

\*) Tu następowała ocena pracy Dr. A. Chałupczyńskiego (O niektórych błędach teorii Darwina. Warszawa 1880.) Ze względu jednak na to, że autor ten właśnie umarł gdy niniejszą recenzję skończył, wykreśliłem cały ustęp dotyczący jego.

\*\*) Ks. Władysław Zaborski T. J. Darwinizm wobec rozumu i nauki. Kraków 1886. Nakładem redakcji „Przeglądu powszechnego“.



które im nie pozwalają przekraczać zagród na pastwiskach, mają one podobieństwo do jamników; ale gdyby jamniki dały się przeobrazić na barany, byłoby to rzeczą arcypraktyczną, arcydogodną, stworzonoby nową gałęź przemysłu, która gdzieby w swym rozwoju miała się zatrzymać, trudno przewidzieć. Jakkolwiek strona utylitarna byłaby ważna, ogromnej doniosłości byłaby także strona teoretyczna kwestji, gdyby można wykazać, że odmiany, które spostrzegamy między osobnikami jednego gatunku, mogły być niegdyś tak się spółęgować, iż jakieś osobniki, zerwawszy nie gatunkową ze swymi rodzicami, ustaliły nowe przymioty wśród sprzyjających okoliczności, daty początek nowemu gatunkowi!!» Oto wyobrażenie ks. Zaborskiego o transformizmie! Z jamników fabrykować barany, to zadanie transformistów! Najlepszy to dowód jak ciasnym jest widnokrąg wiedzy przyrodniczej autora i jak on, sam nie nie umiąc, dla częściej sofistki czepia się przyrodników i swoim brakiem wiedzy chce ich ośmieszać nie siebie! Po raz drugi zwałnia nas zatem autor od dyskusji, bo nie umie i nie rozumie zasadniczych rzeczy: pisze o transformizmie a nie wie co to jest transformizm.

Na str. 10, zdradza autor po raz trzeci obskurantyzm w zasadniczych rzeczach, uszczelnijmy więc znowu kwiatek jego wiedzy: »Aby przeprowadzić dowód, że gatunki są zmienne i przeobrażają się, należało obrać jedną z dwóch dróg i wykazać teoretycznie, że natura jestestw organicznych wymaga koniecznie tej zmienności i przeobrażenia, albo też stwierdzić na mocy spostrzeżeń, że te zmiany i przeobrażenia dokonywały się i dokonywują w praktyce. Darwin żadnej z tych dróg nie obrał, ani mógł ich obrać. Nie dowodził pierwszego albowiem istota ciał nie jest znana: z tego tedy punktu wyjścia nie można dowieść, że natura ich wymaga tych zmian i przeobrażeń, chociaż temu nie można również zaprzeczyć. Nie obrał drugiej drogi, albowiem te zmiany i przeobrażenia nie dzieją się w obecnej dobie, nie dokonały się od kilku tysięcy lat; nie ma żadnych śladów, aby się były dokonywały w periodach geologicznych. Te prawdy są znane i stwierdzone przez wszystkich przyrodników, sam Darwin im nie przeczy, lecz pokłada niczem nieuzasadnioną nadzieję, że kiedyś dowody dadzą się odnaleźć w wielkiej księdze przyrody. Na to odpowiadamy: skoro nauka paleontologii przedstawi namacalne świadectwa przeobrażeń zgodzimy się na twierdzenie, obecnie zaś na mocy wymagań samychże transformistów, mamy prawo i obowiązek odrzucić tę hipotezę.« W pierwszym zdaniu stawia autor sprawę bardzo logicznie, cóż jednak z tego, kiedy brak wiedzy, objawiający się

w następnych zdaniach, doprowadza go do fałszywej konkluzji. Tu pozostaje tylko autorowi radzić, aby czytał dokładniej samego Darwina i setki innych transformistów a przekona się, że »natura jestestw organicznych wymaga koniecznie zmienności, że »te zmiany dokonywały się i dokonywują w praktyce«. Jeżeli już nie z bezpośrednich źródeł, to przynajmniej pośrednio od transformistów może się autor pouczyć, że na podstawie badań Oswalda Heera zboża i owoce strączkowe, uprawiane w perjodzie neolitycznym i bronzowym w Szwajcarii, były o wiele odmienne od dzisiejszych; że Tschudi znalazł w grobach w Peru całkiem odmienną kukurudzę; że Pickering zauważył, iż owca wymalowana na najstarszych egipskich pomnikach dziś nie jest znana, podobnie jak jedna odmiana wołu; że Rütlimeyer wykazał, iż owca i wół mieszkańców budowli wodnych były całkiem odmiennymi; że Buffon porównując kwiaty, owce i jarzyny współczesne z rysunkami ich z przed 150 lat, wykazuje ogromną zmienność itd. itd. Co do paleontologii zaś, to zdradza autor, że naukę tę zna tylko z nazwy, inaczej nie powiedziałby bowiem że »nie ma żadnych śladów, aby zmiany dokonywały się w periodach geologicznych«, radzimy więc żeby autor nie odkładał ad feliciora tempora »namacalnych świadectw« paleontologii, lecz studiował je już teraz, a będzie miał na całe życie dość zajęcia. Kiedy zaś autor rozglądnie się w dziełach przyrodników, wtedy nie wątpliwie ze zgrozą cofnie swe zdanie, że to co obecnie popisał z nieznamośności rzeczy, miałoby być »prawdą znaną i stwierdzoną przez wszystkich przyrodników«, ci bowiem stwierdzić tylko mogą, że autor prawi o naukach przyrodniczych, jak ślepy o kolorach.

Ponieważ walka o byt jest podstawą teorii selekcji Darwina, więc przeciwnicy godzą na nią najsiłniejszym atakiem. Jak w tej sprawie przeciwnicy zostali na głowę pobici, zawstydzeni i ośmieszeni, o tem zdaje się ks. Zaborski nie wiedzieć, jak w ogóle stawia on wszystkie zarzuty od siebie jako swe oryginalne wynalazki, nie wiedząc czy też nie przyznając się do tego, że to stare bajki. Na temat tej nieszczęsnej walki o byt napastowano przyrodników jakby jakich tyranów bez litości, zapominając o tem, że taż walka o byt nie jest żadnym wynalazkiem przyrodników, lecz faktem, pewnikiem skonstatowanym przez nich w przyrodzie. Że walka o byt istnieje w całej przyrodzie, temu nikt zaprzeczyć nie może, bo jest to nie teoria lecz pewnik bijący w oczy sam przez się nawet ludziom niewykształconym, przeciwnicy transformizmu tak jednak rzecz obrócili, jakby to nie był zwykły porządek świata, lecz wymysł przyrodników, jakby to



oni winni byli, że walka ta ogarnia nawet całą ludzkosć bez wyjątku, jakoby to darwinisci buntowali nawet do tej walki jednych przeciw drugim. Niedorzeczne i złośliwe te insynuacje znajdujemy też i u ks. Zaborskiego, który z oburzeniem woła, że «walka o byt zastąpiła od czasu Darwina wszelkie pojęcie prawa, moralności i Opatrzności» (str. 22.) że «taki Hartmann i inni właśnie na podstawie darwinizmu głoszą tepienie całych pokoleń» (str. 249) lub, że «dziec nadsekwańska (w czasie komuny) wprowadziła w życie teorie przyrodnika z nad Tamizy». Czytając takie nonsensa, waha się każdy przyrodnik między politowaniem nad nieuctwem a oburzeniem nad rozmyślnem, złośliwym przekręcaniem rzeczy w celach agitatorskich. Tutaj wypada nam tylko skonstatować fakt, że autor, przeciwnik «darwinistycznej» walki o byt właśnie w dziełku swoim przedstawia najobrzydliwszy jej objaw niepraktykowany nigdzie zresztą w poważnej nauce, szukając bowiem, jak zapewnia prawdy, walczy fałszami, byle cel jego uświęcił mu środki.

Pomimo to wszystko autor miejscami dopuszcza walkę o byt, aby ją, gdy mu tego potrzeba, parę wierszów dalej znowu zaprzeczyć, przy czem posuwa się do tak optymistycznych zapatrywań, że się aż naiwnym staje, nie licząc się z faktami przyrodniczymi. I tak powiada, że «walka między osobnikami jednego i tego samego gatunku ogranicza się do rozmiarów nader szczupłych, gdyż te osobniki nie pożerają się wzajemnie» (str. 40) lub, że «między osobnikami jednego i tego samego gatunku nie tylko nie istnieje wrogie usposobienie, lecz przeciwnie pewna sympatja i dbałość o dobro całego gatunku» (str. 41). Niechaj się autor przypatrzy lub co wygodniej niech przeczyta coś trochę o psach, wilkach, lisach, chomikach, pajakach itd. nie mówiąc już o rzadszych zwierzętach, a dowie się, jak to one zażerają się między sobą a wtedy nie będzie prawil takich niedorzeczności, któremi chce pouczać przyrodników. Altruizm jest zwykle tylko cechą zwierząt towarzyskich!

W zaślepionej swej opozycji przeciw «darwinistycznej» walce o byt, płacze się autor w samych absurdach, a gdzie nie może inaczej, tam przynajmniej komponuje sobie jakieś niesłychane prawa przyrody, które są dla swej naiwności prawdziwie zabawnemi. Oto próbka (str. 30): «Jaka jest przestrzeń potrzebna do wykarmienia jednej pary i jej potomstwa, o tem wie słowik, przepiórka, kuropatwa, jastrząb i inne, a stąd na pewnym obszarze nie pozwalają się gnieździć innym swoim współpracom. Toczy się walka o miejsce a względnie o pożywienie, lecz o ile doświadczenie przekonywa, nie na-

jezdnik lecz prawy właściciel utrzymuje się przy swoim, nie siła lecz prawo primi occupantis tu rozstrzyga».

W namietnem wystąpieniu swem przeciw walce o byt traci w końcu autor przytomność i wydobywa z siebie takie zdanie (str. 36): «Gdyby broń stanowiła o zwycięstwie, a broni tej można by nabywać, wówczas po pewnym przeciągu czasu zostałyby na ziemi orły tylko, lwy i rekiny, a i owe wyginęłyby niebawem z braku pokarmu». W krótkce jednak przychodzi autor do siebie i nie pamiętając, co przedtem powiedział, sam siłą własnego przekonania przyznaje na następnej stronie, że «prawdą jest, iż gatunki wielkie, silne i lepiej uzbrojone pożerają mniejsze i słabsze, lecz zarazem nie zdolne są oprzeć się najdrobniejszym i najślabszym: lwa, orła i rekina pożerają powoli pasożyty».

(Dok. nast.)

## Z W Y S T A W Y

### zjednoczonych Towarzystw sztuk pięknych w Krakowie.

Kraków, 30. marca 1887.

Difficile est satiram non scribere, powiedzieć sobie musi każdy bezstronny krytyk przechadzając się po salach wystawy. W trzech pięknych, obszernych salach Sukiennicze szczerze obrazami zawieszonych, z małymi zaledwie wyjątkami spotka się myślący widz z czemś, gdzie przynajmniej jego uczucie estetyczne nie będzie obrażone, na czem jego oko z pewną lubością spocząć może. Z blisko dwustu wystawionych przedmiotów zaledwie kilka i to literalnie kilka zasługuje na wzmiankę, pozostała reszta, całe dziesiątki można z najczystszym sumieniem odesłać pierwszemu lepszemu kupniowi ram i obrazów i tą baniejcą oczyścić z nagromadzonych miernot przybytek sztuki, jakim powinna być Wystawa sztuk pięknych. Czyli to wina zbyt wyrozumiałej komisji rozpoznawczej — patrzącej przez palce na próbki dyletantów lub szkolarzy? Czyli też głośniejszej sławy sztuka polska, której przecież siedliskiem jest Kraków, w obec dzisiejszych zagadnień politycznych na nic zgola więcej zdobyć się nie może? Krótko mówiąc — uciskająca atmosfera tchnie z „Blauer-Montagów“ i „Woźnych“ jak i licznych płodów pędzla p. Abrahama i Romera.

A płótna tej miary całemi szeregami zawieszone cynicznie urągają wszelkim prawom piękna i prawdy, stanowiąc niesłaby rdzeń i podstawę dzieł wystawionych.

Przyczynę tego smutnego objawu jasno tłumaczy przedewszystkiem brak poważnej i sprawiedliwej krytyki a raczej zalegająca iście olimpijska cisza w sprawach sztuki w łamach dziennikarstwa krakowskiego



następnie, głęboko zakorzeniony w wysoką dyrekcję towarzystwa system protekcyjny, który li tylko dla faworytów swoich znajdzie oklask i otwartą kasę. Otóż tam za tym zielonym stołem w kancelarji towarzystwa, w gronie tej nieśmiertelnej dyrekcji, szukajmy powodów tego fenomenalnego stanu obecnej wystawy. — Powiedziałem „nieśmiertelnej“ albowiem na podstawie §. 17. statutu towarzystwa, opiewającego że: Członkowie Dyrekcji ustępujący, mogą być ponownie wybrani, dyrekcja ta właściwie wcale nie zmienia się.

Wprawdzie długoletniej skrzętności dyrekcji tej zawdzięcza Towarzystwo pokaźną sumę 25.000 kapitału żelaznego a 50.000 obrotowego. Otóż od instytucji, na takiej podstawie fundowanej, żądać należy by cel Towarzystwa szersze, dalej idące koło zaznaczył. Żądać przedewszystkiem należy by Towarzystwo nadało sztuce jakiś kierunek, tok pewien, żeby oraz moralnie jak i materialnie wspierało artystów polskich (p. Statutu §. 1.).

Jednakowoż Towarzystwo krakowskie nie wspiera ani moralnie ani materialnie artystów, nie popiera żadnego kierunku w sztuce, a pragnąc za tanie pieniądze mieć jak największą ilość fantów do rozlosowania, popycha sztukę w przepaść zmuszając artystów do niedbałego i beznymślnego wykonywania obrazów z któremi się właśnie w takiej ilości w salach wystawy spotykamy.

Co prawda obecny stan wystawy jest wyjątkowym, mimo że interesującego się sztuką naszą uderzyć musi, że niegdyś wiele rokujące nadzieje, imiona, jak Florjana Cynka, Jabłońskiego i innych z tej epoki poważnych dzisiaj artystów, od dłuższego czasu znikły z horyzontu wystawy. Udział ich naprzód jako artystów następnie jako profesorów szkoły bezwarunkowo byłby niemałej wagi. Chwilowa nieobecność innych poważnych artystów jak Kossaków, Piotrowskiego, Pruszkowskiego et consortes pozwala od dłuższego czasu trzymać prym cudzoziemcom, którzy coraz to częściej obrazami swemi nawiedzają naszą wystawę. Jacques — Roghrossa, Pogrzeb Schikanedera, i obecnie w salach wystawionego obrazu Hertza, „Nie masz zucha nad żołnierza z pułku Moliniego“, trzymać muszą palnę pierwszeństwa nad wystawionymi w tych czasach obrazami.

Do nielicznych wyjątków godnych stanąć w szranki o lepsze, należy arewyborne malowany obrazek W. Szymanowskiego, p. t. „Perswazje“, który siłą kolorytu, prawdą i poczuciem natury zdradza niepospolity zmysł obserwacyjny. Pędzel jego śmiały i soczysty, rysunek pełen prostoty a wierności, składają się na całość wykwinną i pełną artystycznego wdzięku.

„Gliński“ Alchimowicza należy do poważnie traktowanych obrazów tak pod względem treści jak i samego wykonania. Piwniczny półcień pokrywający

scenę choć miejscami ciężki, jest jednak przejrzystym. Rysunek, pomimo półtonów, w jakim jest obraz trzymany, wszędzie jasny i nader poprawny. Swoboda i pełne werwy malowanie dopełniają grozy tej dramatycznej sceny. Zgodzić się nie bardzo można na ruch nachylonej nad starcem kobiety. Niejasność jego widzi się w podniesionem ramieniu, które na afekcję raczej niż na wyraz przestachu i grozy wygląda, czem stanowczo osłabia akcję dramatyczną.

Pelen prawdy i poczucia natury widok „Z okolicy Bielni“ Benedykłowicza, jak w swoim rodzaju oryginalne w kolorystyce widoki Mroczkowskiego, przodują w tym dziale malarstwa olejnego.

Bieszczada „Przed Loterją“, Krzesza „Lisowczyk“ i nader miłutki obrazek panny Kl. Bierkowskiej „Sąsiadki“, stanowią resztę tych gdzieniegdzie rozrzuconych jakoby gwiazdek, pośród mgłą beznymśności i lekceważenia pokrytych płócien. Najlepsze są w dziale akwarel i rysunków: Tondosa i St. Barabasza widoki architektoniczne pełne talentu i precyzji w wykonaniu. Fałata „Myśliwy“ stanowi czoło działu tego, którego ogon wloką, z wytrwałością lepszej sprawy godną, p. Michał Sozański wraz z p. Fabjańskim. W poprzedniej korespondencji wspomniałem o rysunku p. Pocięchy p. t. „Jasełka“. Rysunek ten grzeszy monotonią w traktowaniu. Przez rozdarte wichrem obłoki przegląda księżyc; droga do kościółka w śniegu wydeptana po obu stronach drzewami sadzona, na których śnieg leży, kapie się w świetle księżyca. Otóż obie strony obrazu, jak i droga nie różnią się w traktowaniu od obłoków nieba. Zadużo płatów jasnych i ciemnych a za mało, stanowczo za mało tych poważnych kontrastów, jakimi nas natura tak często obdarza. Dobrym choć twardym w rysunku jest „Gerwazy“ p. Eljasza. Pełnię talentu zdradza p. Mańkowski w swoich „Wspomnieniach“, również areydobrym jest bezpretensjonalny rysunek gwaszowy Radziejowskiego „Stołownicy“.

Z dniem 1. kwietnia upłynął termin przysyłania obrazów na konkurs fundacji Brandta. Z pięciu wystawionych w turnieju tym biorących udział płócien, największy interes budzi obraz młodego artysty malarza p. Konstantego Mańkowskiego p. t. „Cud św. Piotra w Joppie“.

—b—

## Kronika ruskiego ruchu.

### IV. Ruskie partyjne ewolucje w Galicji.

Narodowcy zobaczyli się nagle między dwoma krańcowymi obozami o przeważnie religijnych tendencjach — prawosławnych i katolickich — a trzymając się mądrej staroruskiej zasady „klin klinem“, zajęli



ostatecznie stanowisko również religijne — gr. katolickie, twierdząc, jakoby unja była ruskim kościołem narodowym i jakoby ruskiej sprawy nie można było nawet wyobrazić sobie bez unji. W ten sposób narodowcy galicyjscy zerwali w tym względzie nie tylko z historją ruską, gdzie wiarą narodową było prawosławie, ale także z ogromną większością aktywnych Rusinów z XIX. st., na całym prawie obszarze Rusi - Ukrainy. Wiadomo bowiem przedewszystkiem, że Rusini w Rosji, stanowiący prawie  $\frac{6}{7}$  całego narodu ruskiego, wyznają prawosławie, którego jednak mimo to inteligencja ukraińska nigdy nie myślała i nie myśli wziąć za podstawę dla rozwoju literatury ruskiej, dla prowadzenia polityki ruskiej i nawet dla oświaty ludu. Oświata ta prowadzoną jest na Ukrainie przeważnie w duchu czysto świeckim, naukowym, niektórzy tylko Ukraińcy, jak np. Kostomarov i Kulisz starali się uwzględniać także stronę religijną, jednakże nie prawosławną, a chrześcijańską. Unję zaś, będącą dla galicyjskich narodowców podstawą całej ich działalności, szczególnie w sprawie oświaty ludu — wszyscy Ukraińcy bez wyjątku potępiali i potępiają. Co się zaś tyczy ludu ukraińskiego, to nie może być nawet mowy o tem, ażeby on solidaryzował się z polityką narodowców galicyjskich, gdyż lud ten jest w części szczerze prawosławnym, w części indyferentnym w sprawach wiary, zaś w części wyznaje sztundę, która z natury rzeczy będzie poruszała umysł ludu ukraińskiego ze skutkiem dotąd, do kąd nie zostanie prawnie uznana.

Zajęte przez narodowców stanowisko sprzeciwia się nadto całemu postępowemu prądowi ruskiego ruchu w Galicji, od M. Szaszkiewicza począwszy aż do chwili obecnej. Cokolwiek bowiem pożytecznego Ruś galicyjska posiada np. w literaturze, to osiągnęła li tylko przez zawziętą walkę każdorazowych ludzi postępowych, jakimi w swoim czasie byli i narodowcy — z klerykałizmem, połączonym zawsze z arystokratyzmem; walkę, którą wspomniani ludzie staczać musieli nie tylko z całym swym otoczeniem, ale także z samymi sobą, przez słumianie w sobie wspomnianych antiludowych i antipostępowych zarodków, odziedziczonych od rodziców i całym systemem wychowania i życia społecznego w Galicji, wyciskających swe piętno na najpostępowszych nawet jednostkach.

Bukowińskich narodowców reflektuje w tym względzie ta okoliczność, że tam większa część Rusinów wyznaje prawosławie, będące pomostem dla rumunizacji, podobnie jak w innych dzielnicach Rusi pomostem takim do polskiego arystokratyzmu jest katolicyzm, a po części i unja. Toteż organ bukowińskich narodowców, popularne pismo „Bukowyna“ stara się wytłómaczyć swym czytelnikom, że, jak niemasz wiary *wołoskiej* (rumuńskiej), tak też niemasz i *ruskiej* wiary, jest tylko ruski *język* (1885. Nr. 24), a w Nrze 10 z r.

1886 „Bukowyna“ powiada wyraźnie: „*my mamy przy narodowych pytaniach zawsze religję na myśli i to nas tak pęta, że nie możemy jasno o naszej narodowości pomyśleć, nie możemy, jako ruski naród postąpić naprzód i wstrzymujemy, nieświadomi samych siebie, narodowcy i kulturowi nasz rozwój*“.

Rodzeni bracia bukowińskich narodowców byli wcale odmiennego zdania. W swoim czasie udawali się oni do S. Sembratowicza, prosząc go, ażeby objął nad nimi dowództwo i otoczył się kanonikami — narodowcami, istnymi, jak powiadał ich mówca ks. Ogonowski, „Katonami“. Ks. Sembratowicz odmówił ich prośbie, powiadając wyraźnie, że w teraźniejszych czasach tylko świeccy Rusini mogą skutecznie przewodniczyć ruskiemu ruchowi. Narodowcy nie zrozumieli widocznie tej odpowiedzi, i udali się w tym samym celu do ks. Pełesza, witając go jako wschodzące słońce na Rusi. W ten sposób w umyśle narodowców zaszło było widocznie dotychczasowe słońce — Szewczenko, antypoda ks. Pełesza in puncto Rzymu. Lecz, — o zgrozo!, — ks. Pełesz także odpycha narodowców, a równocześnie „Ruś“ i „Mir“ napadają na nich starając się im wytłómaczyć, że pojęcie ich o unji, jako cerkwi narodowej jest fikcją, gdyż katolicyzm, do którego unja powinna i musi doprowadzić Rusinów, jest religją uniwersalną, i jako taki nie może być znacjonalizowanym. Z tym wszystkiem „Ruś“ głaska narodowców, pragnąc ich utwierdzić w ich przekonaniu o konieczności dla Rusinów zajmowania stanowiska religijno-katolickiego, i w tym celu wytyka im indyferentyzm religijny, nihilizm, sympatje prawosławne, kozackie, hajdamackie i chłopomańskie. Narodowcy galicyjscy obwinień podobnych lękają się. tembardziej, że i moskalofilskie organy zarzucają im nihilizm, anarchję, bezkonfesyjność i t. p. W odpowiedzi na to wszystko, narodowcy, jak ten strus, chowają głowy „pod skrzydła św. gr. k. kościoła na tym i tamtym świecie“ (!!!) i z tego ukrycia uderzają na moskalofilów, a równocześnie wyrzekają się wszelkich postępowych, ukraińskich i europejskich zasad i sympatyj, i eliminują z pośród siebie ludzi wspomnianego kierunku. Swoją drogą, ci ostatni wykazują narodowcom, że się sprzeniewierzyli nawet swoim własnym pierwotnym zasadom — zasadom Szewczenki, — i że tym sposobem gubią ruską — ukraińską sprawę. Mało po mało ludzie tego kierunku przechodzą do przekonania, że związek ich z narodowcami był nienaturalny i decydują się zorganizować w odrębny obóz postępowy, lecz natrafiają na trudności ze strony władz, które konfiskują prospekt przyszłego organu nowej ruskiej partji „Postupn“. Tym sposobem postępowcy ruscy pozbawieni są obecnie w prasie ruskiej głosu. To ich jednak nie zraża i nie zbliża do narodowców. Owszem, znajdując na razie punkt oporu w polskich wydawnictwach postępowych, postępowcy ruscy coraz bardziej oddalają



się od narodowców, jak znowu ci ostatni coraz bardziej stają się konserwatywnymi.

Wszczynający się w obozie ruskim chaos, powiększa oznajmienie moskalofilów, — w nowy rok wobec S. Sembratowicza, że odtąd tworzyć będą *Rus konserwatywną*, t. j. opierającą się na cerkwi i duchowieństwie ruskim. To wielkie, oskrzydłone słowo natychmiast podchwytują narodowcy i przez usta swego rzecznika w tegorocznej rocznicy zgonu Szewczenki, p. Ceglińskiego oświadczają, że także stanowią odtąd *Rus konserwatywną*, czyli raczej obóz „*konserwatywnych nacjonalistów*“, jak się wyraził p. C. Ludzie tego obozu obowiązani będą według p. Ceglińskiego, między innemi także modlić się częściej i chodzić do kościoła. I wszystko to mówił p. C. jednym tchem z tem, że narodowcy dotychczas uznają za swego moralnego przewodcę — Szewczenkę!...

Gdzieindziej dowodzimy konieczności i szkodliwości dla Rusinów nawet myśli o *konserwatywnej Rusi*, która niema co konserwować, lecz musi ciągle rozwijać się, a zatem ciągle postępować. Tutaj skonstatujemy tylko, że p. Cegliński stara się od pewnego czasu wprowadzić swoją genialną ideę w życie, organizując wspomnianą konserwatywną Rusz nawet pośród młodzieży ruskiej obozu rusko-ukraińskiego. To samo czynić muszą i moskalofile. My naturalnie, nie mielibyśmy nie przeciw temu, ażeby i pp. moskalofile i pp. narodowcy starszej daly zakończyli swój żywot jako konserwatyści, zwracany tylko uwagę narodowców na to, że kiedy oni kończą konserwatyzmem, zaczawszy liberalizmem i chłopotomanją, to rzecz całkiem naturalna że *młodzi konserwatyści - narodowcy* skończą kiedyś polskiem lub moskalofilskim stańczykowstwem.

Tak więc mamy obecnie w Galicji aż cztery, zwalczające się nawzajem ruskie partje, mianowicie: 1) potomkowie dawnych świętojurew t. zw. moskalofile = Rus konserwatywna Nr. 1. (organa: Słowo, N. Prołom, Nauka, Ruskaja Rada); 2) *narodowcy* = Rus konserwatywna Nr. 2. (organa: „Dilo“, „Zoria“, „Szkolna Czasopys“, poczęści „Batkiwszczyna“); 3) *postępowcy* i 4) terażniejsi świętojurecy = *partja metropolitalna*, klerykalno-katolicka.

Religijne sprawy rozdzielone są między te partje w sposób następujący: moskalofile bronią prawosławia, wiary pod sztandarem której walczyli niegdyś przeciw katolicyzmowi i nasi kozacy, ruska szlachta, a po części i lud, z tą jednak różnicą, że moskalofile przyjmują prawosławie w tej formie, w jakiej ono znajduje się obecnie w Rosji, t. j. bez autonomji, która niegdyś cechowała rusko-ukraińskie prawosławie. Narodowcy, zwolennicy niegdyś kozaków ukraińskich i t. p., bronią unji, znienawidzonej przez większą część narodu ukraińskiego dawniej i obecnie, — z tą jednak różnicą, że

narodowcy chcieliby dla unji takiej autonomji, jaką niegdyś posiadało rusko-ukraińskie prawosławie. Zwolennicy partji metropolitalnej zastrzegają się przedewszystkiem przeciw dopuszczeniu do spraw kościelnych ludzi świeckich, jak to było niegdyś na Rusi i jak tego pragną moskalofile i narodowcy (pierwsi tylko dla Rusi austriackiej), następnie zastrzegają się przeciw autonomji unji, t. j. ażeby nawet duchowieństwo niższe nie miało w sprawach kościelnych wpływu; nareszcie przekonani są, że z czasem wszyscy Rusini, a za pomocą nich cały wschód przyjmie katolicyzm, i w tej wierze działają.

Lud u wspomnianych partji odgrywa mniej lub więcej podrzędną rolę, przedstawiając po największej części tylko materiał lub narzędzie do osiągnięcia wskazanych powyżej celów. Najwięcej o lud zawsze jeszcze chodzi narodowcom, chociaż i oni przedewszystkiem starają się, ażeby lud ten utrzymać w posłuszeństwie dla gr. k. kościoła, i w tym duchu go oświecają, a w ostatnich czasach, jak widzieliśmy, także sami pragną zaciągnąć się zupełnie do służby temu kościołowi.

Postępowcy nareszcie, stojąc także na gruncie ruskiej narodowości, przekonani są, że dźwignąć się ona może jedynie za pomocą świeckiej ogólnoeuropejskiej oświaty i postępu, tembardziej, że postępowych elementów wcale nie brak pośród ludności ruskiej, w przeszłości i terażniejszości zdaniem postępowców, sprawy religijne i obrzędowe jako formalne, należy zupełnie usunąć z polityki i oświaty ruskiej, a uważać je tylko jako sprawy własnego przekonania i prywatnego życia. Tym tylko sposobem, zdaniem postępowców, dałaby się osiągnąć zgoda między ruską inteligencją, dałoby się osiągnąć zgodne ich działanie na korzyść ludu.

I rzeczywiście, dzielenie się Rusinów galicyjskich na partje nie tylko że jest szkodliwem dla ludu, ale nawet brak mu wszelkich praktycznych, a nawet teoretycznych podstaw. Dyferencja inteligencji na partje w każdej niemal innej narodowości, z którą się stykają Rusini, jest uzasadnioną z tego względu, że w wspomnianych narodowościach istnieją wyższe i średnie warstwy, właściciele większych posiadłości ziemskich, kapitaliści, kupcy i przemysłowcy itp., nareszcie biurokracja. Jest więc na kim oprzeć się danym partjom, jest kogo zastępować. Nie podobnego nie masz u Rusinów: nie masz u nich nawet rzemieślników, są jedynie rolnicy i inni robotnicy najemni i jest garstka inteligencji świeckiej, także ciężko pracująca na chleb powszedni! Do nich tu i ówdzie, szczególnie w Galicji przyłącza się na prowincji część ruskiego duchowieństwa, która to część przedstawia nawet ludzi zamożnych a której także szczerze chodzi o dobro ludu. Starać się ruskiej inteligencji, w braku odpowiednich warstw i



interesów ruskich, opierać się na warstwach cudzych narodowości i kościołów, znaczy tylko oddalać się od własnego ludu i jego interesów i rzucać go, a więc i narodowość ruską, na pastwę wyzyskiwania i ociemnienia, a w końcu śmierci narodowej. Właśnie brak średnich i wyższych warstw u Rusinów, a mimo to należona nieraz uwaga, co te lub owe cudze warstwy mówią i obiecują Rusinom, a wskutek tego i zależność pewna ruskiej inteligencji od wspomnianej obczyzny, jest przyczyną ciągłego chwiania się, ciągłego partyjnego falowania pośród ruskiej inteligencji szczególnie w Galicji, gdyż równocześnie z tem inteligencja ta ciągle czuła i czuje, że opierać się może i powinna jedynie na ludzie. Zaś staranie się zaimowania stanowiska obrzędowego wobec tego faktu, że Rusini mają w tym względzie jak najróżnorodniejsze przekonania — stanowi główną przyczynę niezgody między ruską inteligencją i główną tamę nierozwijania się, jak należy, ruchu ludowego. Już obecnie lud ruski w czytelnich formalnie bije się jak ryba o lód o brak pokarmu duchowego: już obecnie cała ruska popularna literatura nie jest w stanie zaspokoić żądzy tego ludu, — a tymczasem, inteligencja ruska, popracowawszy wspólnie pewien czas nad zakładaniem czytelni, obecnie rozbita na wrogie partje, atomy pośród takowych, *od końca r. z. już nawet nie zachęca ludu w swych wydawnictwach do zakładania czytelni*. Czynią to prawie wyłącznie tylko niektórzy patrioci ruscy na prowincji i zwolennicy „Bukowiny“, a tymczasem inne potęgi coraz bardziej nacierają na czytelnie ludowe, i tak wiele początkowo rokujący ruch między ludem ścieśnia się i widocznie upada. Sama ruska inteligencja przyczynia się do tego, już to przez usuwanie się od tego ruchu, już to przez stawianie mu przeszkód przez donosy z partyjnych pobudek na wrzekome moskalofilstwo lub nihilizm w czytelnich, które to obwinienia naturalnie natychmiast bywają wyzyskiwane. A równocześnie z tem inteligencja ruska ma odwagę twierdzić, jakoby przyczyniała się do zdobywania praw dla narodowości ruskiej, do jej dźwignienia się, — lub nawet jak to twierdził p. Cegliński, jakoby Rusini tak już dalece postąpili, że z nimi liczyć się musi europejska polityka...

Czysty fałsz! *Gdyby ruska inteligencja należycie uwidoczniła sobie historycznie utokumentowany właściwy prąd rozwojowy ruskiej narodowości — prąd demokratyczny i postępowy; gdyby inteligencja ta usłuchiwała głosu wszystkich niemal wybitniejszych przedstawicieli ruskiego rozwoju, szczególnie na Ukrainie, chociażby jednego Szewczenki; gdyby pojęła wreszcie, że opierać się może i powinna jedynie na własnym ludzie, popierając jego interesa i pracując jedynie dla jego moralnego i materialnego dźwignięcia się i gdyby się raz zdecydowała trzymać się tego stale,*

*nieugięcie, bez żadnego oglądania się; wówczasby z pewnością nastąpiła zgoda i inteligentni roboczy Rusini przedstawiliby jedyną partję ludową, z natury rzeczy świecką i postępową — a wówczas dopiero Ruś przedstawiłaby potęgę, z którą by się liczyć musiano.* Rusin.

## KOESPONDENCJE „RUCHU”.

Wiedeń, w kwietniu 1887.

W ostatnich tygodniach mieliśmy prawdziwą powódź koncertów: w czternastu dniach naliczyłem ich dwadzieścia cztery: wskutek tego jest fizyczną niemożliwością usłyszeć wszystkie produkcje, gdyż dwa i trzy koncerty odbywają się równocześnie; tem mniej można wdać się w szczegółową ocenę choćby części koncertantów. Wspomnę tylko, że ze skrzypków prym wodził mistrz Wilhelmj, który wprowadził w prawdziwy zachwyt Wiedeńczyków. Z pianistów wspomnieć mi wypada rodaka naszego Maurycego Rosenthala. Jest on uczniem Liszta, a aż do śmierci wielkiego mistrza był obok d'Alberta najlepszym i najulubieńszym jego adeptem. Dziś już na estradzie koncertowej mógłby zyskać sławę europejską; z żelazną jednak konsekwencją wykonuje swój zamiar kształcenia się dalszego przez lat kilka, aby potem od razu stanąć na wyżynie. Dwa razy do roku tylko koncertuje w Wiedniu, a koncerty te, prawdziwe biesiady artystyczne, ściągają tłumy publiczności, zaliczającej Rosenthala do swych ulubieńców.

Nadzwyczajne powodzenie ma śpiewaczka koncertowa panna Spies: powodzenie to jednak bardziej zawdzięcza reklamie i możnej protekcji, aniżeli głosowi swemu. W Wiedniu bowiem bardziej niż gdziekolwiek jurant in verba magistri: krytyka Hanslicka lub Kalbecka jest wyrocznią i rozstrzyga o opinii całego świata muzycznego. Otóż krytyka ta tym razem prawie jednoznacznie, a dość niesłusznie, nie ma dość słów zachwytu dla ładnej ale bardzo miernej śpiewaczki. Ciekawe jest zachowanie się publiczności na koncertach Spiesówny. Arystokracja, która wzięła w silną opiekę młodą śpiewaczkę, a która zbiera się nader licznie, zachwyca się ogromnie; reszta publiczności czeka z wyciężeniem natchnienia, czuje się rozczarowaną, ale wystarczy jeden piękny ton, jedno należyte oddanie myśli kompozytora, aby jej przypomnieć, że ma przed sobą wielką artystkę. Rozpisałem się dłużej o tym przedmiocie, bo serwilizm ten i oglądanie się na zdanie sfer wyższych jest charakterystycznym dla Wiedeńczyków.

Wspomnę jeszcze o naszej Kochańskiej, która występuje w operze nadwornej z coraz to większem powodzeniem. Pierwsze dwa jej występy nie odpowiadały oczekiwaniom a nawet przychylnie usposobiona



krytyka szczerzyła pochwał. Spiewaczka miała do przewyciężenia trudności, jakie jej nastręcza język obcy, (spiewała po raz pierwszy po niemiecku), ogromna sala opery jest nieco za obszerną dla jej słowiczego głosu, a wreszcie opery jak *Lucja* i *Traviata* tak już znudziły się publiczności, że najlepsza spiewaczka nie potrafi wzbudzić dla nich zajęcia. Trzeci dopiero występ w „*Cyryliku Sewilskim*“ był prawdziwym tryumfem dla Kocharńskiej, a w „*Lunatyczce*“ zachwyt publiczności nie znalazł granic i — fakt niesłychany — wywołano *Aning* siedm razy po końcu aktu drugiego. Trzeba dodać że Kocharńska nie posługuje się płatną klaką.

Gdy korespondencję dzisiejszą poświęciłem sztuce, dodać mi jeszcze nieco wypada o tutejszych wystawach sztuk pięknych.

W „*Kunstverein*“ do niedawna był wystawiony wspólnie obraz Matejki „*Joanna d'Arc*“, który krytyka bardzo rozmaicie oceniła, a obecnie znajduje się tam jeszcze Wernyhora. *Kunstverein* jak i *Künstlerhaus* zawsze świeci pustkami i jest miejscem schadzek dla kochanków, chcących kilka godzin przepędzić w samotności; natomiast doskonały interes robią przedsiębiorcy którzy zakupiwszy u malarzy jeden obraz, objeżdżają z nim większe miasta i urządzają specjalne wystawy. Jeżeli już ten sposób wystawiania pojedynczych obrazów dla odbicia sobie kosztów zakupu niezupełnie zgadza się z celem dzieła sztuk, to sposób przywabiania publiczności jest wprost niegodnym tegoż. W Wiedniu dwie obecnie znajdują się takie wystawy. Jeden przedsiębiorca (zdaje się, że sam malarz) ogłasza się ogromnymi tajemniczeniami afiszami: „12. Kolowratring 12“, a dopiero na miejscu ciekawo dowiaduje się, że jest tu wystawiony obraz profesora Suchorowskiego, członka akademii sztuk pięknych w Petersburgu „*Ein Wonne-  
traum*“. A dopiero ten obraz! Otwarciej nigdy może jeszcze nie spekulowano na namiętności ludzkiej. W nawpół ciemnym salonie, utworzonym sztucznie z kosztownych makat, w głębi na miękkim łożu spoczywa kobieta w lubieżnej pozie: różowe ciało jej prze-gląda przez cienką koszulę, która przylegając okazuje cudowne kształty kobiety. Z wzburzonej piersi z ust nawpół otwartych, z oczu przymrużonych przebija się namiętna lubieżność i pożądliwość: a gdy rozgrzany odwrócisz się od nęcącego obrazu, z lustra ustawionego na przeciw patrzy na cię ta sama kobieta, plastyczniej jeszcze występując z otaczających ją aksamitów i dywanów. Wszystko to oświetlone niewidzialnem światłem z góry (światło dzienne zupełnie usunięte) sprawia dziwne, ludzające i nęcące wrażenie.

Drugi obraz wystawiony również w lokalu przeznaczonym na sklep nosi tytuł „*Die Lebensmüden*“. Był on ozdobą przeszłorocznej wystawy jubileuszowej berlińskiej i został zakupiony przez handlarza obrazów

na spekulację. — Dwóch kochanków postanowiło wspólnie szukać śmierci w falach morskich. Związani silnym sznurem stoją na pomoście. Temat nie najszcześniejszy: z tych dwóch postaci jednak, z tych dwóch twarzy wyczytać można cały romans: on mężczyzna z ludu człowiek ciężkiej pracy, pełen dzikiej energii i nienawiści patrzy w fale, które wnet ich mają przyjąć: ona, kobieta z wyższego towarzystwa, postanowiła umrzeć z nim, gdy żyć z nim wspólnie nie może i pełna podziwu, miłości a zarazem wzrokiem błagalnym patrzy na niego. Kontrast pomiędzy temi dwiema postaciami oddany znakomicie: wszystkie akcesorja obrazu wykonane doskonale w najdrobniejszych szczegółach: woda, most z drzewa spruchniałego oddane z ładującym prawdopodobieństwem: jednym słowem temat idealny, samobójstwo z miłości, oddany został w sposób zupełnie realistyczny, i w tem zdaje się leży główna potęga tego dzieła.

Tuż obok dwóch tych wysław można zobaczyć greckiego szlachcica, który w wolnych od zajęcia chwilach dał się tatuować na całym ciele. Jedna z gazet wiedeńskich umieściła katekę, że londyńskie *British Museum* płaci człowiekowi temu roczną pensję, aby po śmierci jego mieć prawo zachować ciało dla muzeum.

Każdy porządny Wiedeńczyk wierzy i wychodząc z wystawy „*Die Lebensmüden*“ spieszy wprost aby zobaczyć pokłutą skórę, zanim ją seiągnie z szlachcica greckiego *British Museum*.

## Ze stołu redakcyjnego.

*Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie skreślone przez Piotra Chmielewskiego. Józef Ignacy Kraszewski. Michał Czapkowski. Henryk hr. Rzewuski. Zygmunt Kaczkowski. Jan Zachariasiewicz. Teodor Tomasz Jeż. Henryk Sienkiewicz. Kraków. Nakład księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Henmanna. 1887. str. 631 i XII.*

Piszący te słowa nieraz w latach dawniejszych zadawał sobie pytanie, dlaczego nie ma u nas historii powieści polskiej, dlaczego milezieniem lub krótką zmianą zhywiają historycy literatury ten ważny, u nas zaś w naszych warunkach najważniejszy może rodzaj literatury nadobnej. Pytałem się sam siebie i drugich, a ponieważ namyśle i trudzie znalazłem sporą wiązkę niewinniających okoliczności.

Powieść jest utworem sztuki, obejmującym wszystkie objawy życia i wszystkie dziedziny wiedzy. Chcąc utwór taki zrozumieć i objaśnić pobudki, które się do powstania jego przyczyniły — a to jest właśnie zadaniem i obowiązkiem krytyka — trzeba samemu nie tylko znakomity zapas wiedzy nagromadzić, lecz i dużo przeżyć i dużo odczuć i wiele przeboleć. Powieść, zwłaszcza tendeneyjna, odzwierciedla zwykle społeczne prądy: krytyk zatem, chcąc godnie odpowiedzieć swemu zadaniu, musi być także i socjologiem. Być myślicielem i artystą w jednej osobie, odczuć



piękności, lecz zarazem wskazać i wady czytanego utworu — to zadanie trudniejsze, aniżeli sama twórczość.

Zresztą powieść zakwitła na naszej ziemi nie samorodnie. Z zachodnich stron przeleciało do nas nasiono, które początkowo zupełnie obcem czuło się w naszym klimacie i wcale nieobiecowało hojnego plonu. Powieść polska rozwijała się prawie zawsze pod wpływem francuskiej, rzadziej angielskiej; czasem, nie często uwidocznił się i wpływ niemieckiej. Należy zatem dokładnie poznać historję tamtych, by móc zupełnie trafnie i sprawiedliwie ocenić oryginalne lub zapożyczone pomysły naszych powieściopisarzy.

Ludzi, którzyby żądane przymioty i warunki posiadali, — widzieć nie było. Dodać także potrzeba, że u nas, jakkolwiek powieści czytano wiele i chętnie, estetycy dawniej szkoły z pewną pogardą patrzyli na powieść i zwali ją kopciuszkiem, który pecha się wszędzie, niewiedzieć na co i po co. Czas przekonał tych panów, że ów kopciuszek zupełnie tak, jak w bajce, więcej wart od innych, a wysuwał się naprzód, bo czuł się godnym tronu.

Z chwilą więc zmiany i zapatrywań i stosunków należało oczekiwać zmiany i na tem polu. P. Piotr Chmielowski, główny krytyk liberalnego stronnictwa w Warszawie, który bezstronnością i głębokością swych sądów nieraz już korzystnie wyróżnił się z pośród swoich towarzyszy broni, dał pierwszy, a trwały kamień węgielny do historii powieści polskiej. Do czego w swej pracy dążył i co chciał nam przedstawić, najlepiej określa jego własne słowa:

„Książka obecna rozpoczyna się rokiem 1830, w którym Kraszewski pisać do druku rozpoczął i pierwsze swoje powieści utworzył: nie jest wszakże moim zamiarem połączyć w niej historję naszego romansu nowożytnego; obrałem sobie zakres pracy skromniejszy. Nie wyczerpanie przedmiotu, nie przedstawienie działalności wszystkich autorów, którzy w bliższych nas czasach żyli i pisali, lecz zobrazowanie najznakomitszych jedynie przedstawicieli nowszej powieści, z pominięciem ich naśladowców, jak niemniej i kobiet, którym oddzielną poświęcam księgę, stanowi treść zbioru studiów niniejszych. Jak pojmowano przeszłość i teraźniejszość naszą, jakie osoby za godne artystycznego odtworzenia poezycytywano, jakie ideały wybierano, co słowem, powoływano do życia nowego — w dziedzinie sztuki. Oto zagadnienia, które postaram się uwydatnić i rozjaśnić. (Str. XI i XII).

Z bogatej działalności Kraszewskiego wybiera autor pierwsze dziesięciolecie. Słusznie bowiem zaznacza, że owo dziesięciolecie nader ciekawy przedstawia dla psychologa materiał. Cóż bardziej pociągającego może być nad widok młodego orlecia, wyrrywającego się z gniazda, uwitego ze starych tradycji i spleśniałych przesądów, orlecia rwnącego się do lotu; coż ciekawszego nad ów lot? Wiele to razy piskłę uczuwa zmęczenie, sił nie staje; a zwiśle skrzydła odmawiają dalszej posługi. Wtenczas trzeba szukać przystań na pierwszej lepszej gałęzi, trzeba zażyć w czasie. Lecz wypoczynek ten młodemu orleciu nie idzie na marne. Marzenie i rozmyślanie, czytanie i praca naukowa, wypełniają chwilę owej ciszy i pokoju, są pokarmem duchowym, powiększającym zapas energii. I ptaszę, coraz to bardziej śmielsze i buńczuczne, bo silniejsze, pędem wzbija się znów w powietrze. I nie szybkuje już nisko ponad ziemią, niby jaskółka przed burzą, lecz rzeczywiście godnie swego imienia zwiesza się wysoko wśród sinych chmur.

Poeta wierszem i prozą, krytyk gwałtowny, a świeży i zdrowe w piśmiennictwo polskie wprowadzający soki — oto Kraszewski z owych lat dziesięciu.

Czajkowskiego poznajemy jedynie jako powieściopisarza historycznego. Jego specjalnością były, jak wiadomo, „powieści koczackie“. Stroną w nich nową jest opozycja przeciw dawniejszej deklamacyjnej szkole tak co do stylu, jak i co do przedstawienia bohaterów i piękności przyrody. Taką była dodatnia działalność Czajkowskiego. Znajdujemy w niej jednak i wielkie wady. Pierwszą był brak należytego wykształcenia historycznego; stąd dowolne, a czasem i umyślne fałszowanie historii. Dalej jednostronne traktowanie bohaterów; wszyscy oni dzielni do szabli, lecz umysłowo nierozwinięci. Przypomina to trafne owo Mickiewicza zdanie:

„Nazywał się Soplica i wszyscy Soplicowie  
Są, jak wiadomo, krzepcy, otyli i silni,  
Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni“.

Świat kobiecy został upośledzony w powieściach Czajkowskiego. Nietylko historycznie prawdziwego typu niewiasty polskiej, lecz nawet ogólnego typu kobiecego, któryby przynajmniej artystyczną miał wartość, w nich nie napotykamy.

Bardzo wiele miejsca poświęcił Chmielowski rozbirowi prać Henryka hr. Rzewńskiego. Gdyby nie przeszkody cenzuralne rozbiór ów byłby o wiele ciekawszym i ważniejszym. Dużo trzeba było tam omówić, niedokończyć, zamilczyć, pozostawiając odgadnięcie mniej lub więcej domyślnemu czytelnikowi.

A przecież mimo tego szkic ów pod względem doniosłości społecznej przerasta prawie wszystko, co dotąd Chmielowski napisał. Oświecił on tę postać i umysł arystokraty, przesiąkniętego gorszymi tradycjami wieku XVIII, obłąkanego mistycyzmem i pseudo-religijnymi teoriami Bonolda i de Maistra tak jaskrawo i ze stron wszystkich, że odtąd wszelkie zachełki rehabilitacji hr. Henryka, zdaje się będą nadaremne. „Pamiętkom Soplicy“ atoli i „Listopadowi“ przyznaje wysoką artystyczną wartość, a ich autorowi zaś wielką a dość rzadką u nas odwagę wypowiadania swych poglądów na rzeczy drażliwe a ważne.

Przy Kaczkowskim podmalowuje Chmielowski, idąc w ślady Taine'a, swego mistrza i nauczyciela, nasamprzód tło historyczne. Roztacza przed naszymi oczami prądy duchowe i dzieje wewnętrzne pierwszego dziesięciolecia, drugiej połowy w. XIX. Zaznacza, że Kaczkowski był dzieckiem i wykwitem tej epoki, w której idea monarchiczna wznosiła się coraz wyżej, w której reformy religijne i reakcyjne dążeń znajdowały poparcie i u sfer rządzących i w masach, której typem w literaturze była historia malownicza i beletrystyka.

Do r. 1846 zacięty demokrat, przerzuca się Kaczkowski następnie do wręcz przeciwnego obozu i surowo potępia nawet „własne młodzieńcze rojenia“. Działalność jego powieściopisarska obejmuje dwa pola: społeczne i historyczne. Na pierwszym okazuje się lepszym myślicielem, aniżeli artystą, na drugim (z wyjątkiem najnowszego utworu „Abrahama Kitaja“) rzecz się ma całkiem przeciwnie. Fantazja jego idzie zawsze pod komendy rozumu. Nie wniknął on wyprawdzie głęboko w naturę ludzką, lecz na to objął okiem obszerne koło pojęć i pomysłów, a stworzywszy Murdeliona, zdobył sobie zaszczytne miejsce nietylko wśród naszych myślicieli, ale i w gronie naszych artystów.

Jan Zacharjasiewicz zanadto rozluźnował się w drobnostkach życiowych. W jego tornistrze literackim nie wiele zaprawdę znajdujemy utworów, w których uderza w uczucia społeczne, zbiorowe, poruszające serca miljonów. To też od niego przejdźmy co prędzej do pisarza, który ani jednego słowa w życiu swem nie napisał bez pewnego, stałe raz na



zawsze wytkniętego celu, a celem tym dobro i rozwój rodzinnego kraju, rozwój pod wpływem demokratycznych i wolnomysłnych haseł.

Pisarzem tym — odgadliście zapewne, czytelnicy — jest Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski.)

Szkieł jest najbardziej artystycznie ze wszystkich wykonany. Chmielowski bardzo zręcznie przeprowadza za pomocą faktów z życia naszego powieściopisarza psychologiczną genezę jego twórczości. Wykazuje pod wpływem jakich faktów umysł Jeża pochylił się w stronę demokracji. Odziedziczone skłonności rodzinne były tu pierwszym i najważniejszym może motorem: życie ten prąd pogłębiło i utrwaliło na zawsze. Jakkolwiek artyzm w niektórych jego utworach szwankuje, to przecież każda jego powieść zawiera myśl zdrową i pożyteczną i błyszczy blaskiem prawdy. Jeż bowiem w artystycznym trybie tworzenia jest realistą, to znaczy, trzyma się wiernie rzeczywistości, biorąc z niej zarówno osoby, wypadki jak barwy.

Od tego realisty przejdźmy do innego, do ostatniego i najmłodszego w tej galerji, Henryka Sienkiewicza. Sławny i osławiony to w ostatnich czasach powieściopisarz. Artysta bezwątpienia wielki, największy może z prozaików w literaturze polskiej. Co do jego tendencji i zasad, mówić nam dzisiaj o nich trudno. Zmienił je już raz, kto wie, czy i po raz drugi nie zmieni?

Chmielowski nowelle niemal za arcydzieła uważa, z dramatem Na jedną kartę obszedł się dosyć łaskawie, surowej zaś i wyczerpującej krytyce poddał powieść z lat dawnych p. t. „Ogniem i mieczem“.

Oto szkielet suchy i pobleźny, dzieła, które w działalności Chmielowskiego, ja przynajmniej stawiam najwyżej. Pomijając już bogactwo nowych i nieznanych szczegółów, ważnem jest ono dlatego, że w niem po raz pierwszy Chmielowski umieszcza swoje Credo krytyczne. Na wstępie monografii o Sienkiewiczu mówi o zadaniu i obowiązkach dzisiejszego krytyka. Dalej mimochodem rozrzuca ciekawe i zajmujące uwagi o technice powieści i o warunkach i wymogach estetycznych, którymi powieściopisarze winni kępować swą fantazję twórczą, jeżeli chcą zbudować dzieło, obłożone w szate artystyczną.

Roztaczając życie każdego pisarza na życiu wewnętrznym społeczeństwa, kreśli w ten sposób historję naszą od r. 1830 do 1860. I przy tej sposobności podziwiać należy jego śmiałość, z jaką sądy swe, z pewnością nie dla wszystkich miłe, bo prawdziwe wygłasza. I w tej śmiałości właśnie leży część rozgłosu, jaki dzisiaj słusznie otacza sprawowane czoło krytyka.

Chmielowski miał odwagę, pierwszy w naszej literaturze, o wielu osobach i dziełach wypowiedzieć zdanie, które ogół oddawna już w zanadrzu chował. Ogół nasz polski jest zwykle nieśmiały i za leniwy do wydawania sądów. Dopiero gdy przyszedł człowiek, który śmiała dłońią sądy owe spisał i umotywował, społeczeństwo przklasnęło mu i zsolitaryzowało się z jego zdaniem.

Adam Nowicki.

## Dramat muzyczny.

### Przyczynek do filozofii piękna i sztuki

przez

Rajmunda Baczyńskiego.

#### III.

Zanadto oddalilibyśmy się od naszego przedmiotu, gdybyśmy zechcieli śledzić rozwój muzyki europejskiej po Glucku. Nam chodzi o ocenienie tych zjawisk artystycznych, które wzrósłszy na gruncie dramatu, wstawały w zakres swego założenia pogodzić z nim muzykę.

Jakoż zaczawszy od następującego geniusza po Glucku, od Mozarta, a skończywszy na panującym wśród nas operopisarzu Mayerbeerze, nie może być mowy o prawdziwym rozwoju dramatycznej muzyki, mimo zupełnej nowej doby muzyki europejskiej. I nie może być inaczej, albowiem muzyka epoki instrumentalnej, której przedstawicielami: Haydn-Mozart-Beethoven jest dzisiaj wszechwładną panią u europejskich ludów. Formy instrumentalnej muzyki są tak różne od form, których dramat muzyczny wymaga, iż już dla tej przyczyny nie mogą one odpowiedzieć estetycznym a mniej jeszcze psychologicznym wymogom, jakich żądać należy od dramatu muzycznego. Ale o wiele większy zarzut uczynić jeszcze musimy temu kierunkowi instrumentalnemu. Obok form bowiem dochodzących częstokroć do apatycznej jednostajności, napotykamy na ustawiczne traktowanie głosu ludzkiego na wzór i podobieństwo instrumentów, zaczęło idzie, że głos ludzki miasto zdradzać się najwinnie na gruncie psychologicznych sytuacji, idzie o lepsze z instrumentami i upada coraz bardziej wobec niegodnego traktowania do rzędu sztuczek linoskoczkowych.

Skoro będziemy zważali na utwory operowe pogluckowskie, nie okiem muzyka instrumentalno-formalistycznego: ale słuchać je będziemy nieuprzedzeni żadnymi względami uchem więcej dramaturga, aniżeli muzyka, — co konieczną jest rzeczą, jak to później obaczymy, to nabędziemy zupełnie innego wyobrażenia o operach okresu instrumentalnego, aniżeli owe, o jakim nas poucza niedołączna i zbyt jednostronna estetyka muzyczna.

Mozart był niezaprzeczenie jednym z drobnej garstki geniuszów muzycznych; z tem wszystkim musielibyśmy się znaleźć w wielkiej kolizji, skorobyśmy chcieli iść na oślep za licznym zastępem krytyków muzycznych, dla których Mozart wyobraża istną wyrocznię w rzeczach opery. Jakoż dla instrumentalistów Mozart po dziś dzień pozostał wzorem niedoścignionym. Ale zupełnie inaczej przedstawia się on nam, skoro wyjdziemy z prostego i jedynie możliwego punktu widzenia.



Przedewszystkiem pamiętać musimy, że Mozart jest zenitem opery włoskiej. Pomijając to, że pisał on prawie wszystkie opery do włoskich tekstów, napróżno się kusimy dosłyszeć w nim owego pierwiastka niemieckiego, i owej *deutsche Innigkeit*, którą według Niemców Mozart miał wyobrazić na każdym kroku w swoich dziełach. Tego wszystkiego ucho nieuprzedzone nie dosłucha się na pewno. Szlachetność naiwna przebija się wprawdzie wszędzie u niego, ale ona właśnie wyróżnia tylko Mozarta od Włochów, którzy nigdy nie mogli się zdobyć na nią przy swojej lekkomyślności.

Nie mam żalu do Niemców, iż prześlepiłi czysto włoski żywioł w dziełach swego rodaka, ale dziwię się estetykom muzycznym, kiedy oni stawiają Mozarta operopisarzom za wzór, jedyny do naśladowania, skoro po prawdzie nie było po nim na tej drodze nic więcej do powiedzenia. Czy może krytyka wskazując na Mozarta miała na myśli, jakoby możebnem było po nim stworzyć lepsze ustępy, jak którykolwiek z Don Juana? Wszak po wszystkie czasy największy geniusz muzyczny nie zdołał ożywić zbutwiałego cielska formą instrumentalną. Beethoven był prawdziwie boskim muzykiem, a jako taki czuł najlepiej, że Fidelio nie odpowiada ideałowi dramatu muzycznego.

Jeśli gdziekolwiek Mozart porывa nas w swoich dziełach, przedewszystkiem w Don Juanie i w Weselu Figara — którą jednak jako komiczną operę zostawiamy na boku — to pewna nie siłą dramatycznej swej muzyki. Zasługa należy się natenczas na pewno chwilom skreślonym mniej więcej szczęśliwie przez librecistów. Beethoven natrafił na mniej zręcznego librecistę, a Fidelio zawdzięcza tylko piętnastemu swój pozorny żywot na scenie.

Ale co najbardziej charakteryzuje Mozarta, patrząc na operę okiem li tylko muzyka instrumentalnego, to jego bezwzględna prawie opieszałość w wyborze swoich tematów. Obojętną mu było, do czego pisze muzykę, hyle pisać. Żaden temat, choćby najnudniejszy i dla muzyki najnieodpowiedniejszy nie raził jego estetycznego smaku. Uwielbiać go jednak za to musimy, że wszędzie, gdzie poeta nie zdołał wzbąć się ponad poziom uczucia, tam wszędzie i jego muzyka wiernie utoyka. Wielkim umiał on być tam tylko, gdzie go poezja natęchnąć zdołała swoją siłą.

Nie wdając się w dalsze omawianie tej sprawy, śmiało twierdzimy, że Mozart pozostanie na zawsze pierwszorzędnem zjawiskiem dla historii muzyki. Dla rozwoju dramatu muzycznego jednak napróżno szukamy w nim tego, czego dramat muzyczny po sobie wymaga.

Tu moglibyśmy śmiało zakończyć historję rozwoju dramatu muzycznego lub lepiej mówiąc opery, boć każdy zgodzi się chętnie na to, że po Mozarcie jak

wogóle po beethovenowskim okresie, nie masz operopisarza, któryby dorównał Mozartowi. Tak samo nie masz muzyka, któryby zdołał się wyemancypować z pod wszechwładnej po dziś dzień instrumentalistyki, tak wręcz przeciwnej dramatowi muzycznemu.

Rzucając bowiem okiem na operę pomozartowską, zauważymy w ogólności trojakiemu rodzaju muzyków i trojakiemu rodzaju opery. Pierwszy rodzaj, którego reprezentantem Rossini, usiłuje sztuczna, o ile możliwości lekką pseudomelodją instrumentalną przełamać wszystkie zapory, które dramat muzyczny nasuwa kompozytorowi. Ten kierunek nie troszczy się wcale o dramat i gubi się wreszcie w mdławych i sentymentalnych utworach Belliniego, Donizzetiego itp.

Przedstawiciele drugiego kierunku trawi wprawdzie czysty płomień, ale oni nie mogąc oddalić od siebie maryl instrumentalistyki napróżno szukają odrodzenia się opery na gruncie narodowym. Łatwo zrozumieć, że idee przewodniczące Weeberowi, Moniuszce, Spontiniemu itp., idee podnoszące indywidualizmy narodowe, czerpane nadto ze skarbnicy ludowej, dostarczyły korzystniejszych i o wiele sympatyczniejszych warunków dla opery.

A jednak ten kierunek nie cieszy się także prawdziwie najszerzszem wzięciem ani u ogółu ani wśród muzyków. Przyczyna tego leży na dłoni. Każdy muzyk czuje, że na tej drodze nie dadzą się na długo eksploatować własności ludu; aby zaś uwagę ogółu odwrócić od zbytowego zamykania się w ideałach narodowościowych, o to postarali się muzycy innego znów rodzaju.

Meyerbeer jest par excellence reprezentantem tego kierunku. Chciał on wmówić w świat, że jego utwory wzrosły na ideałach powszechnych. Ale w rzeczywistości był on kosmopolitą, że tak rzeknę, uosobistnionym, a jego ideały nie były bynajmniej wspólną własnością całej ludzkości, ale monetą zdawkową, za którą dostawał on w zamian wszystkich zachwyt, na jaki stać było europejskie narody. Smutno to świadczy o smaku dzisiejszym, że najpłytszy właśnie, a najbardziej arogancki kierunek opery, meyerberowski najbliższy jest uchu europejskiemu. I tego przyczyna leży nie tak bardzo w uchu, jak przeważnie w oku Europejczyka, które w pojmowaniu sztuki i sztuczek dosięgło dzisiaj śmiało rzecz można wirtuozowskiego szczytu. Dziś, kiedy życie nasze zużywa się elektrycznym prądem technika i tylko technika bez względu na treść i wartość popłaca nie tylko w codziennem życiu, ale nawet w — sztuce.

Sila przyzwyczajenia do wszystkiego nawet złego przybrała z czasem takie rozmiary, że dzisiaj zwykliśmy rzecz wprost przeciwną naturze brać za najzwyklejszą w świecie. A przecież niejednemu z nas, będącemu po raz pierwszy w operze, nie wydało się wątpliwem, czy rzeczywiście znajduje się w świątyni muz, lub też



raczej czy nie zabłąkał się przypadkiem do którego z *maison de santé*? Skromność i obawa ośmieszenia się nakazały drażnionemu sumieniu prawie zawsze milczenie, bo i jakżeż tu się porwać na rzecz taką, jak opera, którą świat cały mądry i niemądry uwielbia od lat setek.

Gotów nam kto powiedzieć, że nie może być inaczej, ponieważ opera, tak jak wiele innych rzeczy, rozwinać się musiała na gruncie jednych zasad powszechnych, skoro zdołała ogarnąć całą ludzką nie-tylko ostatnich stuleci, ale i dzisiejszego wieku. Byłaby to bezwzględnie słuszna uwaga, gdyby fakta nie burzyły jej znaczenia. Faktem jest bowiem, żeśmy powodując się przyzwyczajeniem, ulegli wrzeczaom opery, podobnie jak w wielu innych — przesądowi, z którego się uwolnić nie jest tak łatwo. O dowód na to nie trudno.

Ryszard Wagner dosyć szorstko wypowiedział swoje zdanie o operze. Według niego jest ona „*ein Labyrinth dass zum bergenden Narrenhause für allen Wahnsinn der Welt geworden ist*” a na innem znów miejscu zwie ją wprost „*einen unbeschreiblich konfusen Wechselbalg*”. Ten cytat ułatwia nam wprost zbliżyć się do rozwiązania wyżej założonego zagadnienia o uprawianiu opery, a wreszcie całego dramatu muzycznego.

Ponieważ już o tem mówimy, to jeszcze inne zasadnicze pytanie nasuwa się nam, domagając się gwałtownie zastanowienia się nad niem. Pytanie to brzmi: *czy wogóle muzyka może być dramatyczną?* Weźmy pierwszy lepszy ustęp z jakiegokolwiek opery uchodzącej za najlepszą, ustęp nie liryczny, a zatem nie arją, ani piosenkę — ale taki, gdzie najwięcej działania wskutek wzburzonych uczuć lub namiętności. Miejsce takich jak wiadomo, szukać należy w recytatywach.

Ołóż największa ilość operopisarzy traktuje właśnie bardzo podrzędnie recytatywa — te najgłówniejsze dramatyczne miejsca. Mówimy, największa ilość, bo w rzeczy samej po Glucku bardzo a bardzo trudno o dobre recytatywo. Nawet recytatywa Mozarta, przyznam się otwarcie, nie sprawiają zawsze i wszędzie tego prawdziwego wrażenia, porywającego nas bezwiednie — a którego Niemcy nie mogą się dość nachwalić. Mimo wszelkiego uwielbienia jakie posiadam dla geniusza Mozartowskiego, nie wstydę się tego niego wyznania, a to tem bardziej, iż nawet taki Hanslick nie zapiera się tego, że opery mozartowskie (oprócz Don Juana, dla którego ten krytyk po dziś dzień zachować zdołał pierwotny swój zapał) tracą dla niego z dniem każdym na pierwotnej swej sile. Znajdzie się i takich mnóstwo wśród nas, ale u Polaków mimo licznych przykrych doświadczeń, przesady w daleko większej mierze biorą górę.

Nie radzę nikomu, kto by chciał odpowiedzieć sobie na dane zapytanie o dramatyczności muzyki, szukać odpowiedzi w recytatywach meyerbeerowskich. Meyerbeer bowiem traktował recytatywa nie mniej pobieżnie jak wielu innych, pomimo iż chodziło mu o to, aby one nie przechodziły bez wrażenia. Aby tego osiągnąć posługiwał się najrozmaitszymi środkami, z których najbardziej była mu na rękę orkiestra. Tę mając wszędzie na zawołanie, użył gdzie tylko potrzeba było śmiać się, jęczyć, skarżyć się, płakać lub szaleć, i to zawsze w jak najrealistyczniejszy sposób. Dla uczniów oper instrumentalnego kierunku Meyerbeer jest najniebezpieczniejszym wzorem, a kto go sobie mimo to wybrał, ten naprzód już musi być wyzuty z wszelkich szlachetnych popędów i zbyt koślawe musi mieć wyobrażenie o ideałach dramatu muzycznego. Partytury meyerbeerowskie tylko wytrawny już muzyk przeglądać może bez szkody własnej i tylko taki skorzystać z nich może, chociaż korzyść ta będzie przeważnie negatywnego znaczenia.

Weźmy jednak, żeby już przy najlepszych muzykach pozostać, najpiękniejsze recytatywa z Don Juana albo z Fidelia, a mianowicie takie, które na każdego z nas robią wrażenie iście dramatyczne. Pytajmy gdzie właściwie leży siła dramatyczna tych recytatywów, czy w poezji, czy w muzyce samej bez słów. A tylko w tym ostatnim wypadku, to jest jeśli tony śpiewane bez słów będą na nas sprawiały pierwotne wrażenie danego uczucia lub namiętności — możemy powiedzieć, że muzyka zdolna jest wyrażać się dramatycznie. Niestety dziewięćdziesiąt dziewięć razy na raz, i to tylko w wykrzyknikach itp. będziemy musieli przyznać, że odsunawszy słowa nie tylko nie odczuwamy muzyki, ale że nawet mowy nie ma w niej, o jakimkolwiek wyrazie dramatycznym. Jakto, więc cóż jest w tej muzyce? cóż ona wyraża? i tym podobne pytania słysze do koła.

## Typy społeczeństwa rosyjskiego w literaturze.

Szkic literacki

Rafała Löwenfelda.

Przekład z niemieckiego.

I. W Rosji bardziej aniżeli w którymkolwiek z krajów cywilizowanych istnieje ścisły związek między poezją i życiem. Nie pochodzi to stąd jakoby tam wpływ literatury na poziom wykształcenia był większy jak w zachodniej Europie, owszem przeciwnie — wpływ duchowych prądów i dążeń społeczeństwa o wiele wyraźniejsze wyciska piętno na literaturze rosyjskiej jak u nas. Społeczeństwo rosyjskie i literatura rosyjska



ska, to pojęcia, które istnieją dopiero od czasów Piotra Wielkiego; a jeżeli uwzględnimy te pojęcia, odkąd one dla nas stały się przystępnymi, możemy im przyznać zaledwo wiek jednego stulecia. Burzliwy monarcha, który sądził, że przez założenie Petersburga jednym skinieniem państwu swemu przyswoił cywilizację europejską, był także zdania, że jest w jego mocy stworzyć literaturę narodową. Jak ironia brzmią słowa odpowiedzi pierwszego rosyjskiego poety — na te usiłowania. Mołdawski książę Kantemir, który był posłem w Paryżu, i w każdym razie posiadał cywilizację zachodnio-europejską, był pierwszym poetą Rosji. Satyrą było to co pisał — wielce charakterystyczny początek w dziejach literatury — w dziełach jego prawie bez wyjątku pod formą zarówno liryczną jak epiczną lub dramatyczną, widnieje duch satyryczny. Przez cały wiek XVIII. była częścią narodu rosyjskiego, ta mianowicie, która dążyła do cywilizacji i wiedzy, zależna od ducha, który wiał z Niemiec, Anglii i Francji. Język którym pisano był rosyjski, myśli jednak obce. To było dzieło Piotra Wielkiego, które dziś nie bez słuszności przez partję słowianofilską, jako dzieło błędnego przewodnika scharakteryzowane zostało. Umysł krytycznie się zagłębiający w dziedzinę dziejowego rozwoju pojmie łatwo, że z takich początków narodowa literatura powstać nie mogła. Grunt rosyjski dalekim był jeszcze od możliwości pojęcia cywilizacji europejskiej i samodzielnego tejże pielęgnowania. Cóż zaś zgubniejszem jest dla postępu cywilizacyjnego, zarówno u jednostek jak i całego wielkiego narodu, jak brak samodzielności? A to piętno niesamodzielnosci ciążyło nad wzrastającym narodem prawie do najnowszych czasów. To bowiem co Rosjanie narodową literaturą nazywają, utwory Puszkina, Lermontowa i innych, jest tylko odbiciem obcych myśli i uczuć, które jednak u tych niepospolicie uzdolnionych uczniów zachodu w właściwy sposób są oddane, w sposób, który usprawiedliwia pod pewnym względem błędne sądy zbyt pochopnych wielbicieli. Literatura ta posiada jednak przed wszystkiemi pewną właściwość odrębną. Jest ona od wieku najwymowniejszą reprezentantką tego co wzrusza ludem, najwierniejszą przedstawicielką nowszych pokoleń — podaje typy, nie charaktery.

Musimy tu na przykładzie wykazać co na tem miejscu przez słowo typy rozumieć należy. W literaturze niemieckiej jest jedna tylko kreacja typowa zbliżona do tych, jakich szukamy w Rosji, postać Werthera. Można wprawdzie i Fausta uważać jako typ przedstawiający dążności niemieckie, myśli niemieckie, uczucia niemieckie, słowem można go uważać jako ekstrakt duchowości niemieckiej, żadną miarą jednak nie jest on odzwierciedleniem pewnej epoki, pewnego kierunku myśli. W tem pojęciu jest Werther, słaby, bezczynny, uczuciowy i wskutek nadmiaru uczucia ginący

młodzieniec daleko prędzej przedstawicielem epoki i całego tego rodzaju ludzi, którzy byli prawdziwemi dziećmi swego wieku. Postacie Wertherowskie znajdziemy i w dzisiejszych czasach — któraż bowiem epoka i które społeczeństwo ich nie posiadało? Rodzaj jednak Wertherów zagał. Ludzkość stale od czasów Hioba do Fausta brała udział w owej wielkiej boleści świata — która jej dała poznać szczupłe ducha granice. Ale ta boleść światowa w postaci owej germańskiej sentymentalności, którą wielu angielscy i niemieccy poeci ubiegłego stulecia w literaturze stworzyli, była w ścisłym związku z pewną epoką, z którą zstąpiła do grobu. Owe spóźnione objawy wielkiej boleści światowej, które jeszcze dziś czasem między nami się płaczą, są anachronizmem. Brak im mianowicie pierwiastku tragicznego, jaki cechuje Werthera i schodzą wskutek tego na pole karykatury. Podobnie jak Werther winien być uważany jako przedstawiciel pewnych dziesiątek lat niemieckiego życia duchowego — można Eugeniusza Onegina bohatera Puszkinańskiego romansu uważać jako typ rosyjskiej młodzieży z pierwszych lat 20 naszego stulecia. Wprawdzie Puszkina tego wprost nie powiedział, że w swoim bohaterze chciał odtworzyć swych ziomków i współczesnych w Rosji, jednak zaraz od chwili pojawienia się, aż do dni dzisiejszych Eugeniusz Onegin nie inaczej jest pojmowanym. Cóż zaś może być oczywistszym dowodem, że fotografia się udała, jak okoliczność, że oryginał sam uznał ją za wierną?

Eugeniusz to człowiek dla którego używanie życia nie ma uroku, gdyż używał za wiele, gdyż stał się nieczułym na wszystko co piękne i dobre, gdyż za wcześnie rozpoczął wyczerpywać do dna kielich przyjemności życia. Zręczny bywalec bez serca, natura krytyczna, bystrym rozumem, ale nie dostatecznie wykształconym obdarzona, człowiek który słowo honor ciągle ma na ustach i jest gotów swe niewiele wartające życie za poświęcić — nie zdając sobie dobrze sprawy i nie rozumiejąc dokładnie całej doniosłości i znaczenia tego słowa. O wszystkim co człowiek chcący coś znaczyć w towarzystwie wiedzieć powinien — ma on niejaki wyobrażenie, poważniej nie zajmuje go nic. Marzy czasem o Adamie Smicie i jego ekonomji społecznej. W jednej tylko rzeczy, jak twierdzi poeta, doprowadził do doskonałości, a mianowicie w miłości. Ale i to pojęcie w umyśle goniącego za użyciem spaczyło się i zmieniło swe znaczenie. Dla niego miłość stała się „kunstowną sztuką uwodzenia“ Eugeniusz Onegin jest mężką kokietką, która wystudjowawszy sztukę podobania się, zastosowuje ją z największą bezwzględnością, tak że biedna ofiara jego namiętności zaledwo ślad litości w jego sercu pozostawia. Porzucona dziewczyna stoi w jego pojęciu na równi z listkiem porą jesienną z drzewa opadłym. Czemże zaś jest dla niego przyjaciel? Towarzyszem biesiad i wyścigów i nieczem wię-



cej. Jeżeli zaś ten przyjaciel wejdzie mu w drogę i pokrzyżuje jego podstępnie wyrachowane plany — rzuca mu rękawicę, nie wskutek wzburzenia namiętności lecz w podstępnym obliczeniu skutku, jaki ten manewr wyrzuci na biednym sercu dziewczęcia, które zamierzał usidlić. Zabija przyjaciela i wraca do domu z przesvědzeniem, że spełnił obowiązek honoru.

Ponieważ Tatjana, której szczęście życia zniweczył, wyszła za mąż za starego generała, zjawia się wyrachowany mistrz znowu i prawi jej o swej niewygasłej miłości.

Czy to jest nowy wybuch dawno zapomnianego uczucia, czy też nowe usiłowanie lekkomyśluka, poeta na to pytanie nie odpowiada. Tatjana przysięg jego miłośnych spokojnie słucha, opowiada mu w jaki sposób przyszło do tego, że jest obecnie małżonką księcia i kończy słowy: „Tak, przyznam, kocham Cię, lecz gdy innemu oddałam rękę, wierną mu pozostanę“. „Wieruję!“ to pojęcie, którego Onegiu nigdy nie mógł zrozumieć. Sobie samemu, swoim przyjaciołom, swojej miłości, słowem wszystkiemu jest on niewierny. Brak mu zasad, brak owego jasno wytkniętego kierunku życia — brak samodzielnosci, gruntownej wiedzy, owej trwałej podpory, którą zapewnia wyrobiony charakter. Bez wątpienia mają ci słuszność, którzy w osobie Onegina widzą kreację Byrona, nie rozumie się tu jednak jakoby Puszkina naśladować miał postacie fantazji Byrona, brał on typy z życia, ze społeczeństwa, w którym się obracał, a które zupełnie znajdowało się pod wpływem poety angielskiego, którego geniusz współcześnie ogarniał całą Europę. Smutny to obraz! Czy poeta przesadził dla wywołania większego wrażenia — czy może skreślił fałszywie wizerunek? Pewno nie — bacząc bowiem uważniej odnajdziemy w postaci jego bohatera własne rysy autora. Sfera, której dzieckiem jest Onegin — równa się zupełnie tej, która Puszkiniowi śmierć przygotowała. Któż nie zna smutnego końca poety? Mąż, którego ubóstwiano jako przedstawiciela ducha rosyjskiego, był zmuszony z powodu błahych posądzeń i mniej przyzwoitych uwag grona, które go otaczało — z pewnym francuskim przybłądą, nazwiskiem Dantes, zamienić kule, jedynie z powodu, że tenże się przechwalał, iż doświadczył względów żony Puszkina. Dnia 29. stycznia 1837 zmarł Puszkina, w dwa dni po pojedynku z biegłym w strzelaniu Francuzem, a to samo otoczenie, które swemu wieszczowi śmierć przyspieszyło, zwróciło teraz swą zemstę przeciw obecnemu awanturnikowi; Dantes, dotychczas sławiony ulubieniec kobiet, napiętnowany mianem mordercy, był zmuszony pod zasłoną eskorty opuścić cesarstwo, by ująć zemstę rozszalałego ludu.

Młody współzawodnik Puszkina Michał Lermontow pojął całą doniosłość tego zdarzenia, uważając je jako symptom czasu i społeczeństwa. W gwałtownych

słowach wyrzuca on społeczeństwu błędy i grzechy i w apostrofie do cara Mikołaja żąda dobitnie ukarania mordercy. Któżby się poważył do wszechwładnego Mikołaja tego rodzaju śać żądania? Odpowiedzią też na to było wygnanie Lermontowa, z którego już nigdy nie miał wrócić do stolicy. W 27. roku życia ginie podobnie jak Puszkina w lekkomyślnie wywołanym pojedynku z ręki przeciwnika, któremu jednak nie można było jak Dantesowi zarzucić lekkomyślności i awanturniczności, jak również winy wywołania pojedynku.

Lermontow, który zaledwo przekroczył granicę oddzielającą lata młodzieńcze od wieku dojrzałego, był już powszechnie uznawany jako godny Puszkina następcę. Nie ulega też wątpliwości, że twórcze zdolności Lermontowa większe były niż Puszkina. Puszkina był od niego oddalonym całym lat dziesiątkiem, przeciągiem czasu, który ze względu na wiek młodzieńczy, w którym obaj z łona narodu wyrwani zostali, wielce waży na szali. Głównem jego dziełem jest: „Bohater naszych czasów“. Uwidocznia się tu już w tytule usiłowanie odnawiania społeczeństwa w ten sposób jak to uczynił Puszkina w „Eugeniuszu Oneginie“. Jeżeli zaś u Puszkina podlegałby jeszcze mogło wątpliwości czy rozchodziło mu się o skreślenie obrazu całego społeczeństwa, to u Lermontowa własne jego słowa usuwają wszelką w tym względzie wątpliwość.

„Bohater naszych czasów“, — powiada on w krytykę wywołanej przedmowy do drugiego wydania, jest „w istocie portretem, ale nie jednego człowieka, lecz „portretem, na który się złożyły błędy całego pokolenia „w swym pełnym rozwoju.“ Odpowiedzcie mi pewnie, — mówi dalej Lermontow, że człowiek nie może być „tak złym. Na to powiem wam: jeżeli mogliście uwierzyć w możliwość istnienia wszystkich tragicznych i „romantycznych przestępców — czemuż nie wierzycie „w istnienie Peczoryna? Jeśli, podlegli wrażeniom, „uznacie kreacje, które o wiele straszniejsze i niekiedy „niejsze były, czemuż ten charakter, choćby był tylko „wymysłem, nie znajduje u was łaski. Może dlatego, że „więcej w nim znaleźliście prawdy, jakbyście sobie tego „byli życzyli.“

Kwestja ta dotknęła społeczeństwo do żywego. Peczoryn bowiem jest o wiele głębiej pomyślany i o wiele szczerzej wyposażony rysami owego próżnego społeczeństwa, jak jego brał i poprzednik Onegin. Po między obydwoma tymi wytworami upływa przeciąg lat dziesięciu spokoju politycznego i ciszy umysłowej. Nie się nie zmieniło: tak więc musiały przedstawione przez poetę rysy charakterystyczne społeczeństwa wykazać bezwzględne podobieństwo. Peczoryn jest podobnie jak Onegin młodzieńcem wzrosłym wśród wszystkich wybryków życia stolicy i w kole burzliwych namiętności, który w swych młodych jeszcze a już tak zwiędłych latach — jak Puszkina raz mówi o sobie — czare



przyjemności życia tak wysączył do dna, że mu nie nie pozostało jak tylko zniechęcenie do życia. Pod względem swej zewnętrżności jest to fircyk skończony, zarozumiały zarówno ze swych małych arystokratycznych rąk i delikatności białych palców, jak niezwykajnych skłonności i wysoce rozwiniętego uzdolnienia w sztuce podobania się kobietom. Próbowal swych sił z wielkiem powodzeniem na owem targowisku miłości świata arystokratycznego; źródłem tych usiłowań była jednak jego fantazja i miłość własna, serce wychodziło bez szwanku. Próbowal oddać się studjom, wiedza jednak wkrótce mu się sprzykrzyła. Ogarnia go śmiertelna nuda: rozkaz udania się na Kaukaz wita jako promyk szczęścia, ale i tu to samo złudzenie. Nawet szczere oddanie mu się dziewicy czerkieskiej nie zdołało znudzonemu światowcowi spędzić z czoła chmur niezadowolenia i zapelnąć pustki życia. A pomimo tej zaledwo budzić się jeszcze mogącej namiętności, ogarnia tego pogromcę niewieściego zazdrość, gdy widzi kogoś większymi od siebie otoczonego względami. Tylko w tym wypadku jest on zdolnym na chwilę zebrać całą swą energję, aby łatwością rozmowy, ożywieniem i dowcipem zwrócić na siebie uwagę. A przecież miłość kobiet zarówno jak kobiety same nie są dlań niczem więcej jak tylko zabawką, służącą jedynie do rozprószania nudów. Przechwala się, że nie stał się nigdy niewolnikiem kochanej kobiety lecz przeciwnie, że zawsze panował bezwzględnie nad jej wolą i sercem. Kobiet z charakterem nie lubił. To zdaniem Peczoryna nie harmonizuje z ich naturą. Igra on z własnem życiem zarówno jak z życiem drugich. Zabiwszy bowiem w sobie wszelkie uczucie, nie ma wyrozumienia dla uczuć, które inni do świata i do kochanych istot przywiązują. Z zimną krwią zabija swego przeciwnika w pojedynku — z tym samym jednak spokojem był zdecydowany na wypadek, gdyby go trafiła kula przeciwnika i stoczył urwisko, aby trup jego zawisnął na odłamie skały i tym sposobem przeciwnika od wszelkiego uwolnić podejrzenia. Peczoryn czuje się tak zupełnie wolnym od wszelkiego wzruszenia serca, że wszystkie swoje namiętności i postęпки sam z wielkiem rozbiera zajęciem, jak fizjolog przedmiot swych badań. Dwie istoty żyją w jego piersi, duma osobista i wyniki obserwacji duchowej. Jedna żyje w całym słowie znaczeniu, druga obserwuje i kieruje pierwszą. Wolny od wszelkiego złudzenia, przyznaje sam sobie własną nicość i uważa siebie z jasnością spokojnego myśliciela jako jednostkę z owej wielkiej liczby epigonów lepszego rodzaju. Ci epigoni płaczą się po ziemi do koła bez przeświadczenia i dumy, nie znając co użycie lub inna jakakolwiek bojaźń, jak owa bezwiedna, która ścisła serce na myśl o nieuniknionym końcu. Są oni niezdolni do wielkich ofiar ani dla dobra ludzkości ani dla własnego szczęścia, gdy mają przeświadczenie, że szczęście to jest niemożliwem, i tak popadają

zubożeni z zwątpienia w zwątpienie jak ich przodkowie z jednego błędu w drugi, nie mając jak oni, tych nadziei lub też tego potężnego acz nieokreślonego uczucia, które towarzyszy silnym w ich walkach przeciw współbliznim lub przeciw losowi. W postaciach Onegina i Peczoryna mamy tedy portrety społeczeństwa rosyjskiego z 3. i 4. dziesiątka lat naszego stulecia, jaki nakreśliła mistrzowska ręka dwu największych poetów rosyjskich.

Charakterystyczną dążnością rosyjskiej literatury jest tworzenie typów i to tak wybitnych jak to wyżej wykazaliśmy. Społeczeństwo prawie, że żądało od swych poetów własnego wizerunku, i znajdowało pewnego rodzaju przyjemność w tego rodzaju karykaturze.

## Kronika powszechna.

### Literatura, prasa, odczyty.

— Pomińkowego dzieła Tadeusza Korzona „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta,” wysła tomu 4. część 2. Dzieło to zatem jest już ukończonem.

— Księgarnia Żupańskiego w Poznaniu zapowiada nową powieść p. Z a p o l s k i e j p. t. „Życie na żart“.

— „Głos“ warszawski zamieszcza dłuższy artykuł o Boryslawiu, podpisany: Henryk Ostojka, w którym znajdujemy jaskrawy obraz stosunków ekonomicznych i społecznych tej Kalifornii galicyjskiej.

— „Wiśły“ miesięcznika geo-etnograficznego, numer 1szy ukazał się właśnie w Warszawie.

— Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“ wychodzi po niemiecku w wiedeńskiej „Wiener Allgemeine Zeitung“, w przekładzie p. H. Lewentala.

— „Potop“ Sienkiewicza drukuje w przekładzie rosyjskim czasopismo „Russkaja Myśl“.

— „Russkij Kurjer“ zamieszcza przekład noweli Bolesława Prusa p. t. „Katarynkarz“.

— Znany poeta czeski Rudolf Pokorný przełożył świeżo Zaleskiego „Duch od stepu“.

— Czasopismo rosyjskie „Woschod“ w zeszycie marcowym zamieszcza pracę profesora Berszadzkiego o „żydowskiej gminie Wileńskiej“.

— „Kijewlanin“ ogłosił przekład „Bajki wiosennej“ St. Grudzińskiego.

— Kraszewskiego „Rzym za Nerona“ przełożonym został na język duński.

— Znany historyk rosyjski N. Kariejew wydał zajmujące dzieło o reformacji w Polsce p. t. „Oczerk istorji reformacjonnozwodżenja i katoliczeskoj reakcyi w Polsce“.

— Broszura Kaliksta Wolskiego p. t. „Żydzi i kahały“ ukazała się w przekładzie francuskim p. t. „La Russie juive“.

— Ważny przyczynek do historii polskiej wydał p. Pierling p. t. „Bathory et Possevino“, Documents inédits sur les rapports du Saint-Liege avec les Slaves. Paris 1887; str. 257.



— Ferdynand Lesseps zamierza wydać swoje pamiętniki równocześnie po angielsku i po francusku.

\* \* \*

### Teatr i muzyka.

— Księgarnie warszawskie wystawiły mało znany utwór J. I. Kraszewskiego. Jest to fantazja na fortepian ze znanej piosenki „Tam na błonią błyszczy kwiecie“.

— „Szczeście małżeńskie“ (Le bonheur conjugal) Albina Valabreque przedstawionem było w Warszawie dnia 2. kwietnia, z dobrem powodzeniem w teatrze „Rozmaitości“.

— „Otello“ Verdiego ma być przedstawionym w Rzymie 15. kwietnia b. r. Verdi sam przyrzekł swą obecność na tem przedstawieniu, w którym udział weźmie cały personal teatru La Scala z Medjolanu.

\* \* \*

### Nauka.

— Prof. Rostafiński zrobił niedawno odkrycie, że woda laurowa przeszkadza rozwojowi bakterji i że przeciwnie działanie takiej silniejszej jest niżeli wody karbolowej. — Innym środkiem przeciwnym niedawno odkrytym jest sacharyna.

— Składki na rzecz doktora Holuba idą rażno; zebrano już znaczną sumę, z której część użyto na wykupienie nadeszłych skrzyń ze zbiorami naukowymi, część zaś wysłana na ręce p. Pope w Capetown dla poratowania p. Holuba.

— Wyprawa Stanley'a przybyła d. 18. marca do Congo, a stamtąd udała się w dalszą podróż do Matadi.

\* \* \*

### Malarstwo, rzeźba i architektura.

— Najświeższy obraz Matejki „Zgon Zygmunta Augusta“ wystawionym będzie w Warszawie w salonie Krywulta.

— Ajdukiewicz otrzymał od dworu cesarskiego we Wiedniu na swój użytek słynną pracownię Makarta przy Gusshaus-trasse.

— Na obecnej wystawie akademickiej w Petersburgu znajdują się trzy akwarele pędzla siedmioletniej dziewczynki panuy Manassein...

\* \* \*

### Ruch społeczny.

— „Głos“ warszawski pod tytułem „Memento“ zamieszcza spis tych Polaków, co po uchwaleniu praskiej ustawy kolonizacyjnej, sprzedali Niemcom swoje dobra. Znajduje się tam 18 nazwisk obywateli, którzy sprzedali razem za około 7 milionów marek ziemi! Komentarzy nie potrzeba.

— We wsi Udrycze, koło Zamościa, zdarzył się bunt chłopów, który pōskromić musiano siłą wojskową. Powodem było, że właściciel owej wsi, uzyskawszy od sądu egzekucję na mienie włościan z tytułu rzekomo poczynionych szkód w lasach i pastwiskach, sprowadził komornika celem zlietowania majątków włościańskich. Chłopi ustąpili dopiero w chwili ukazania się sprowadzonych 200 kozaków.

\* \* \*

### Zmarli.

— Wacław Dąbrowski, prezydent m. Lwowa, zmarł w skutek choroby piersiowej d. 31. marca mając lat 65. Miasto uczciło go wspólnym pogrzebem.

— Dr. Jakób Girtler profesor prawa niemieckiego w uniwersytecie krakowskim zmarł w Krakowie d. 1. kwietnia b. r.

— K. W. Żółkiewski, młody literat i jeden z przewódców postępowej młodzieży akademickiej, zmarł we Lwowie.

— Hrabia Robert de Mun, znany radykał francuski zmarł niedawno w Paryżu mając lat 47.

— Dr. Kazimierz Szule, publicysta, historyk, archeolog, członek Tow. przyj. nauk w Poznaniu, zmarł tamże d. 27. marca.

## KĄCIK GRAFOLOGICZNY.

*Wychodzący z zasady*

**P. H. w Wa.** Litery powyższego pisma stawiane pionowo, a nawet nachylone więcej ku lewej stronie wbrew zasadom kaligraficznym i początkowej nauce pisania, świadczą wymownie, że piszący wyłamując się z biegiem czasu z pod wpływów młodocianych wrażeń, wyrobił w sobie pewną samodzielność i niezważając na przepisaną formę, wycisnął swemu piśmu piękno własnej indywidualności. Upór i duch sprzecznosci przebiega w tem sprzeciwieniu się pierwotnej i właściwej formie pisma ludzkiego, które powinno w zasadzie pochylić się od lewej ku prawej. Litery nierówno a równobrzmiące różnią się kształtem pomiędzy sobą, jedna wyskakuje nad drugą — oddalenie liter od siebie nieproporcjonalne — wszystkie te oznaki znamionują ruchliwość i gorączkowe traktowanie spraw.

Zakręt pretensjonalny przy a oraz różne wykrętasły powtarzające się w toku pisma, są dowodem próżności i chęci błyszczenia.

## Korespondencja redakcji.

**Pannu E. w W.** Ad a) i b) Na przyszłość zagadki umieszczać będziemy zawsze na ostatniej stronicie tekstu, a rozwiązania na okładce.

Ad c) Zdaje się nam, że pisanie powinszowań na papierze opatrzonym żalobną obwódką jest niestosownem.

**P. X.** Oto przepis na masę do zapuszczania szepionych drzew: wosku, białej smoły, nierafinowanej terpentyny, oliwy po 2 części, toju 1 część. Wosk topi się z smolą, dolewa terpentynę, a następnie miesza z oliwą rozpuszczoną z lojem.

**P. Starkłówna w Szczurowie.** Adres redakcji (umieszczony zresztą na każdym zeszytzie „Ruchu“) opiewa Lwów ul. Kraszewskiego 23.

**M. w Weisskirchen.** Lunigłówny i arytmografy mogą się przydać.

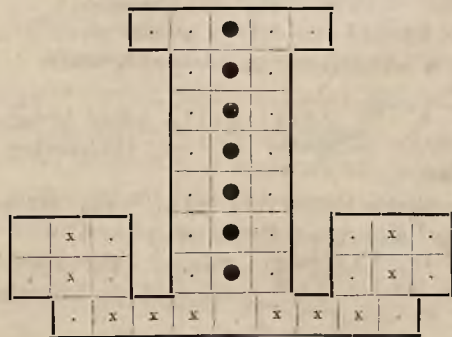
**P. J. K. Zajęczkowski w Buczaczu.** Na zdanie chętnie poświadczamy, że wszystkie dotychczasowe rozwiązania zagadnień pochodziły od pana, a nie od pańskiego imiennika. Czy wysłana pannu w swoim czasie premia, doszła do rąk pańskich?

**Pani K. T. w Przem.** Wiersze nie nadają się nam, noweł musieliśmy wprzód czytać.



## ZADANIA.

### Dyjamentowa kotwica.



	1. Dawny wróg Polski	
	2. Jeden z filaretów	
	3. Imię własne żeńskie	
	4. Artykuł żywności	
	5. Rzeka w państwie austriackiem	
6. ważny narząd zmysłowy	6. Owad	6. zwierzę domowe
7. okres czasu	7. Widomy znak holu	7. rzecz przyjęta w dłuższych utworach dramatycznych
8. Części składowe stroju ryb	8. narząd zmysłowy	

Oś kotwicy (wielkie kropki) — czytając z góry na dół — i w łuku (krzyżyki) — czytając od lewej ku prawej, daje imię i nazwisko jednego z najszlachetniejszych naszych obrońców wolności.

### Zadanie arytmetyczne.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	22								10
2	21								11
3	20	19	18	17	16	15	14	13	12
4	Zaczawszy liczyć od pewnej cyfry z prawej ku lewej								
5	lub z lewej ku prawej wykreślać co siódmą tak, żeby po								
6	wykreśleniu wszystkich została tylko cyfra 16.								
7									
8									

### Skrzynka pocztowa.

**Wł. Zad. Stanisławów.** W swoim czasie nieomieszkamy skorzystać.

### Skrzynka grafologiczna.

**P. Gru...i w Buczaczu.** Charakter dodatni, trochę zarozumiałości z powodu zbytnej pewności siebie — w każdej czynności rozważny i spokojnie obliczający — systematyk.

**Pan L. w Lw.** Jesteś pan prędko, przedsiębiorczy i zdaje się dość lekkomyślny. Charakter pisma wskazuje także na pewną pretensjonalność i dążenie do oryginalności.

**P. H. Wi...rz. w Słobodzie.** Jesteś pan bardzo wrażliwy na najdrobniejsze nawet szczegóły — rzutny i śmiały w przedsięwzięciu, przytem despotyczny. Gładkich i ujmujących form towarzyskich.

**P. Hg... w ?** — Dlaczego tak mało zaufania we własne siły? nigdy pan nie wiesz czego się trzymać i naginasz się w tę lub ową stronę w miarę jak pana napompują. Za wiele oddajesz się pan marzycielstwu i nie zawsze zastanawiasz się nad tem co czynisz. Grunt najpoczeiwszy, ale spora dawka lekkomyślności.

**Abonentka z prowincji.** Jesteś pani „hie mulier“. Samopielna jak rycerz średniowieczny, nieznosząca sprzeciwienia się chociażby niewykonalnym żądaniom. Pomimo błysków realizmu wiele idealnych poglądów — przytem zamieszanie w wygodkach, słowem same sprzeczności. Uspokobienie nader wrażliwe, żadna myśl nie gości stale w głowie. W towarzystwie miłuchna i pożądana.

**Panów Autorów i Wydawców** życzących sobie oceny swoich dzieł w „**RUCHU**“, upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.

**TREŚĆ:** I. Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — II. Praca i przyszłość, wiersz H. P. — III. Nowe prądy religijne w Ameryce, przez Ludwika Intendera. — IV. Jad, powieść Al. Kiellanda. — V. Dwa widzenia, przez Bolesława Czerwieńskiego. — VI. Ks. Zaborski wobec darwinizmu. — VII. Z wystawy zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych w Krakowie. — VIII. Kronika ruskiego ruchu. — IX. Korespondencje „Ruchu“. — X. Ze stołu redakcyjnego. — XI. Dramat muzyczny. Przyczynek do filozofii piękna i sztuki, przez Rajmunda Baczyńskiego. — XII. Typy społeczeństwa rosyjskiego w literaturze. Szkice literackie, przez Rafała Löwenfelda. — XIII. Kronika powszechna. — XIV. Kącik grafologiczny. — XV. Rozwiązania, Zagadki. — XVI. Ogłoszenia.